CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 2 5 STYCZNIA 1978 R CENA 1,50 ZŁ

KARNAWAŁ CZAS ZACZĄĆ!

Karnawał czas zacząć! Czekamy na opisy pomysłowych zabaw szkolnych, na których nikt nie podpiera ścian lecz wszyscy wesoło się bawią. Nieważne stroje, przede wszystkim liczy się dobra atmosfera i humor.

Kto pierwszy zaprosi fotoreporterów „Świata Młodych" na szkolny bal z pomysłem? Czekamy!

Fot. J. Łopuszyński

TOWARZYSZOWI GIERKOWI NAJLEPSZE ŻYCZENIA

Kiedy przemawia, mówi prostym, trafiającym do każdego językiem. Mówi ciepło, serdecznie. Czuje się, że hasło „z ludźmi, przez ludzi i dla ludzi" wypływa z jego osobistego, głębokiego przekonania, iż jest to jedyny sposób rozwiązywania stojących przed narodem i partią zadań. By, jak wskazał VI Zjazd PZPR, „Polska rosła w siłę, a ludzie w Niej żyli dostatniej".

(Ciąg dalszy str. 2)

Uroczysty finał X Turnieju Młodych Mistrzów Techniki

LAUREACI U EDWARDA GIERKA

(Inf. wł.) 10-letni dorobek TMMT to ponad 371 tys. projektów wynalazczych, wniosków racjonalizatorskich, użytecznych prac dyplomowych i pomysłów technicznych. Wdrożenie młodzieżowych wynalazków przyniosło gospodarce 17 mld zł. Turniej z roku na rok staje się imprezą coraz popularniejszą. Uroczyste podsumowanie i wręczenie nagród za rok ubiegły odbyło się 1 grudnia. 17 grudnia Edward Gierek spotkał się z grupą najwybitniejszych laureatów TMMT. W czasie spotkania młodzi racjonalizatorzy opowiadali o tym, jak rozwijali swoje pomysły. Proponowali nowe formy pomocy dla młodych wynalazców: m. in. giełdy pomysłów racjonalizatorskich, sztafety spraw użytecznych, rady młodych wynalazców. Wśród 25 najlepszych znalazł się Andrzej Szkutnik jeden z projektantów przyrządu do rehabilitacji dłoni.

(mat)

„MARABUTY" W AKCJI

GDAŃSK (HSI). „Marabuty" (grupa uczniów gdańskiej Szkoły Podstawowej nr 80) mogą się pochwalić osiągnięciami w urozmaicaniu życia swoim kolegom. Dzięki „Kapitule Zielonego Trampka" w każdy poniedziałek uczniowie przedstawiają swoje propozycje wypraw w najbliższą niedzielę. Działa też „centrum wymiany doświadczeń". Tutaj właśnie wpłynęły pomysły konkursów na najpiękniejszy bukiet jesienny i kalendarz ilustrowany rysunkami przedstawiającymi osiedle Przymorze, na którym znajduje się szkoła. Wszystkie interesujące pomysły zostają oczywiście realizowane. **(ap)**

Hartowana dębina

ZSRR (PAP). Czarny dąb należy do najbardziej poszukiwanych gatunków drzewa. Dzięki swoim szczególnym właściwościom używany jest chętnie w przemyśle meblarskim. Czarna dębina jest efektem naturalnych zmian zachodzących w pniu leżącym w wodzie około 100 lat! Zdobycie cennego surowca nie jest więc sprawą łatwą. Niedawno powodzeniem zakończyła się próba stworzenia sztucznych warunków, w których proces powstawania czarnego dębu byłby znacznie przyspieszony. W temperaturze pod ciśnieniem 200 atmosfer uzyskuje się błyskawicznie materiał, na który do tej pory czekać musiano długie lata. **(mh)**

NAJWIĘKSZA KOTWICA ŚWIATA

SZKOCJA (PAI). Gigantomania rodzi gigantomanię. Tak jest i w przypadku wielkich platform wiertniczych Morza Północnego (największa waży 400 tys. ton), dla utrzymania których w odpowiedniej pozycji trzeba wykonywać coraz większe kotwice. Z 12 największych wykonanych dotychczas kotwic dla zbudowanej w Szkocji ogromnej betonowej platformy każda waży 70 ton. Kształtem kotwice te przypominają potężne zakrzywione łopaty, które wbijają się w dno tym głębiej, im bardziej rośnie siła uciągu. Imponującą wagę mają także ogniwa łańcucha łączącego kotwicę z platformą wiertniczą. Każde takie ogniwo, waży 800 kg – tyle co średni samochód! **(jd)**

TOWARZYSZOWI GIERKOWI NAJLEPSZE ŻYCZENIA

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Jutro, 6 stycznia, Towarzysz Edward Gierek obchodzi swoje 65 urodziny. Urodził się w 1913 roku we wsi Porąbka w woj. katowickim. W 1923 roku, po śmierci ojca, wyemigrował z matką do Francji. W trzynastym roku życia zaczyna pracować w kopalni. Tu zdobywał pierwsze doświadczenia, które związały go bez reszty, na całe życie, z klasą robotniczą, z jej walką o sprawiedliwość społeczną. Jako młody górnik bierze aktywny udział w działalności związków zawodowych (CGTU). W 1931 r. wstąpił w szeregi Francuskiej Partii Komunistycznej. W 1934 r. za udział w strajkach górników został aresztowany i wysiedlony z Francji do Polski.

W 1937 powtórnie emigruje, tym razem do Belgii, gdzie pracuje również jako górnik i działa aktywnie w partii komunistycznej. W czasie okupacji, przebywając nadal w Belgii, uczestniczył w ruchu oporu, walcząc z hitlerowskim okupantem. Po wojnie brał tam udział w organizowaniu Związku Patriotów Polskich, Polskiej Partii Robotniczej i kierował działalnością Rady Narodowej.

W 1948 r. po powrocie do Polski, rozpoczął pracę w Komitecie Centralnym Polskiej Partii Robotniczej. W 1949 r. został wybrany sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach. W tym czasie kończy zaocznie wyższe studia na Akademii Górniczo-Hutniczej otrzymując dyplom inżyniera górnictwa. W 1954 r. na II Zjeździe Partii został wybrany członkiem KC PZPR i podjął pracę w Komitecie Centralnym.

W 1956 r. wybrany został sekretarzem KC PZPR, a następnie członkiem Biura Politycznego KC PZPR, które to funkcje od 1957 r. łączył ze stanowiskiem I sekretarza KW PZPR w Katowicach. Wieloletnia praca w partii, wśród robotników, wielka troska o sprawy ludzi pracy zyskały Edwardowi Gierkowi autorytet, uznanie i sympatię narodu polskiego. 20 grudnia 1970 r. wybrany został I sekretarzem KC PZPR. Funkcję tę powierzył mu ponownie Komitet Centralny wyłoniony przez VI i VII Zjazd PZPR.

Pod jego kierownictwem partia wypracowała program przyspieszonego rozwoju kraju, w którym pomyślność Ojczyzny wiąże się nierozerwalnie ze stałą poprawą warunków życia ludzi pracy. Jego głęboki patriotyzm, mądrość i wielkie doświadczenie polityczne zjednały mu ogromny autorytet wśród wszystkich patriotycznie myślących i czujących Polaków oraz szacunek wśród najwybitniejszych mężów stanu współczesnego świata.

Jego zasługi dla Polski i międzynarodowego ruchu robotniczego zostały uhonorowane Orderem Budowniczego Polski Ludowej, tytułem Zasłużonego Górnika PRL, Orderem Lenina oraz innymi wysokimi odznaczeniami.

W Dniu Urodzin składamy wszyscy Towarzyszowi Gierkowi najlepsze, z głębi serca płynące życzenia.

DZIEŃ, W KTÓRYM ODPŁYNĘŁA RYBA

Wszechocean – 70 procent powierzchni naszej planety – od wieków kusił człowieka swoimi bogactwami. Czerpiemy z nich jeszcze dość nieśmiało, ograniczając się tylko do połowów wielu gatunków ryb, skorupiaków i mięczaków. Ale postęp nauki i techniki postawił człowieka przed zupełnie nowymi możliwościami: sięgnięcia po bogactwa zalegające dno morskie i jego podziemie.

Pojawienie się tej szansy, a także stopniowe wyczerpywanie się zasobów ryb na łowiskach przybrzeżnych spowodowało, że wiele państw zdecydowało się na ustanowienie swojej 200-milowej morskiej strefy ekonomicznej.

Morze jest bowiem ogromną i nie w pełni jeszcze wykorzystywaną spiżarnią dla ludzkości. Rocznie odławia się na świecie 70 mln ryb, z czego 90 proc. to połowy dokonywane w strefie przybrzeżnej, szelfowej. A według obliczeń naukowców łowienie w ciągu roku nawet 100 mln ryb na otwartych wodach oceanów absolutnie nie naruszy równowagi ekologicznej w przyrodzie.

Pierwszym zwiastunem bogactw ukrytych pod dnem oceanów było odkrycie złóż ropy naftowej, którą dziś wydobywa się z głębokości o wiele przekraczających 200 m. Pomimo że w chwili obecnej na jej eksploatację mogą sobie pozwolić tylko najbardziej rozwinięte kraje, to w przyszłości wydobywanie ropy z dna morskiego możliwe będzie metodami technicznymi łatwymi do opanowania przez wszystkich zainteresowanych. Obecnie z wierceń podmorskich pochodzi 20 proc. wydobywanej na świecie ropy, ale już w latach 80 wydobycie zwiększy się do 30 lub 40 procent. Dno morskie kryje również nieprzebrane wprost ilości minerałów. Złoża te przez długi czas mogą zaspokajać potrzeby ludzkości.

Ustalenie nowego ładu prawnego na morzach i podziału ich bogactw stało się przedmiotem obrad konferencji prawa morza. Starając się zapewnić sobie całkowitą wyłączność eksploatacji naturalnych zasobów morskich niektóre kraje chcą 200-milową strefę ekonomiczną uznać za własne wody terytorialne, co może w poważnym stopniu ograniczyć swobodę żeglugi. Jednakże większość państw, i taki jest również punkt widzenia krajów socjalistycznych, pragnie, aby 200 mil było tylko obszarem wyłączności połowów i eksploatacji bogactw mineralnych.

Inny problem jest z możliwościami wykorzystania zasobów naturalnych stref przez państwa nadbrzeżne. Wiadomo, że liczne kraje Trzeciego Świata, hojnie obdarzone przez naturę wybrzeżem morskim, nie będą w stanie samodzielnie odłowić znajdujących się w ich strefie ryb. Czy więc państwa nie mające dostępu do morza lub dysponujące dużą flotą rybacką będą mogły skorzystać z tych nadwyżek? Ostatnie ograniczenia, np. podwyżka opłat za połowy u wybrzeży Kanady i limity połowów wprowadzone przez państwa, przy wybrzeżach których Polska od lat miała swoje łowiska, postawiły w kłopotliwej sytuacji nasze rybołówstwo.

Sprawa Bałtyku

Bałtyk to niewielki zbiornik wodny, o bardzo małym stopniu zasolenia, przeciętnej głębokości 55 metrów i powierzchni nieco przekraczającej 427 tys. km². Ponieważ wpada do niego wiele rzek, a mała głębokość cieśnin duńskich powoduje powolną wymianę wód z Morzem Północnym, Bałtyk ma niekorzystny bilans tlenowy. Czynniki te sprawiają, że uboga jest fauna i flora tego akwenu. Jeżeli w jego południowej części żyje 26 gatunków ryb morskich, to w Morzu Północnym jest ich 120!

Wszystko to spowodowało, że państwa leżące nad bałtyckimi brzegami postanowiły wspólnie zadbać o ochronę żywych zasobów tego morza i ich racjonalne wykorzystanie. Miała temu służyć Konwencja Gdańska z 1973 roku.

Stało się jednak inaczej. Na początku ubiegłego roku prasa szwedzka doniosła o zamiarach wprowadzenia 200-milowej strefy ekonomicznej i rybołówczej. Polska była zdania, że Bałtyku dzielić nie należy, a najlepszym rozwiązaniem będzie ścisła współpraca, która przyniesie więcej korzyści niż jakikolwiek podział. Rząd szwedzki podtrzymał jednak swoją decyzję. Jednocześnie z dniem 1 grudnia zeszłego roku polskie statki rybackie zostały zmuszone do opuszczenia wód, 200-milowej strefy rybołówczej państw EWG. Radykalnie zmieniło to warunki działania naszych flot rybackich; tym bardziej zaczął nas interesować Bałtyk, który jest w stanie zaspokoić 1/5 naszego zapotrzebowania na ryby. Jeszcze przed wojną połowy na Bałtyku nie przekraczały 100 tys. ton ryb rocznie, dzisiaj sięgają 900 tys. ton, z czego Polska odławia prawie 200 tys. Ograniczenia wywołane wprowadzeniem stref ekonomicznych sprawiły, że niektóre państwa bałtyckie chcąc zrekompensować sobie straty, rozpoczęły zwiększone połowy dalekomorskimi statkami uprzemysłowionymi. Mogło to w krótkim czasie doprowadzić do przełowienia łowisk bałtyckich. Działo się tak, pomimo że Konwencja Gdańska szczegółowo określiła limity odłowów poszczególnych gatunków ryb dla każdego kraju. Dodatkowo jeszcze istniało niebezpieczeństwo podjęcia połowów na Bałtyku przez floty rybackie państw trzecich, które nie podpisały Konwencji.

Wszystkie te wydarzenia zmusiły nasz kraj do podjęcia kroków prawnych zabezpieczających nasze interesy na wodach przybrzeżnych. W połowie grudnia ubiegłego roku Sejm PRL uchwalił trzy ustawy: o rozszerzeniu wód terytorialnych z 3 do 12 mil morskich; określone zostały prawa Polski do zasobów mineralnych dna morskiego i jego podziemi w szelfie kontynentalnym oraz ustanowiona została 200-milowa strefa rybołówstwa. Do tej pory poza Polską wszystkie państwa bałtyckie wydały już akty prawne dotyczące ich prawa do zasobów szelfu, a 200-milowe strefy ekonomiczne ustanowione zostały przez ponad 60 państw świata.

Nasz kraj dopiero rozpoczyna badania w dziedzinie oceanotechniki. Mamy jedną małą platformę wiertniczą, za pomocą której wykryto złoża soli potasowej pod dnem Zatoki Puckiej. Opracowywany jest już projekt perspektywiczny badań i eksploatacji dna Bałtyku, a konstruktorzy w Szczecinie pracują nad projektem pełnomorskich wież wiertniczych. Podpisano też porozumienie z NRD i ZSRR o utworzeniu wspólnej organizacji dla poszukiwań bogactw mineralnych na Bałtyku.

Nowe zadania

Polskie statki rocznie łowią 750 tys. ton ryb, z tego 470 tys. ton pochodzi z łowisk odległych od 2 do 9 tys. mil morskich od macierzystych portów. Koszty ich połowów są olbrzymie. Opracowany więc został program zmian struktury naszej floty oraz kierunków jej połowów, a także współpracy z innymi krajami.

– Dążymy – powiedział wiceminister Handlu Zagranicznego i Gospodarki Morskiej, Edwin Wiśniewski – do zakładania większej liczby spółek rybackich, udostępniając partnerom bądź nasze statki, bądź też technologię połowów. W zamian uzyskujemy możliwość połowów w ich strefach morskich. Dotyczy to zwłaszcza krajów rozwijających się.

Szczególny nacisk położony będzie jednak na zintensyfikowanie i pełne wykorzystanie możliwości połowowych na Bałtyku, z uwzględnieniem racjonalności tych połowów i ochrony zasobów biologicznych tego akwenu.

Nadszedł więc czas, kiedy musimy pomyśleć o eksploatacji wód otwartego oceanu. Wiąże się to nie tylko ze zmianą technologii połowów, ale także ze zmianą gustów i przyzwyczajeń konsumentów. Bowiem zasoby żywe głębin oceanicznych, to zupełnie nieznane na naszym rynku gatunki ryb i mięczaków.

JANUSZ ORŁOWSKI

Fot. **J. Kowalkowski**

Pod Zwrotnikiem Koziorożca

Dla przybysza z Europy stolica Namibii robi wrażenie niezwykłe. Windhuk przypomina ułożony z klocków model typowego niemieckiego miasta z przełomu XIX i XX wieku. Ostre szczyty dachów, wieżyczki, między nimi wilhelmińskie fasady domów. I żeby nie było złudzeń, niemieckie są również nazwy ulic: Kaiserstrasse, Bülowstrasse, a nawet Goeringstrasse. Ta ostatnia upamiętnia nazwisko pierwszego komisarza Rzeszy w Afryce Południowo-Zachodniej (ówczesna nazwa Namibii), ojca hitlerowskiego marszałka. Drogowskaz w centrum Windhuk pokazuje odległość: Berlin 11000 km. Są to wszystko pozostałości po okresie podboju rozległego terytorium Namibii (przez środek którego przechodzi Zwrotnik Koziorożca) w latach 1884–1890. Panowanie cesarskich Niemiec było krótkie, zaledwie do końca pierwszej wojny światowej, ale za to bezwzględne. Plemiona murzyńskie, jak np. Herrerowie i Namowie, którzy ośmielili się stanąć w obronie swojej własności i niezależności, ciężko za to zapłaciły. W roku 1911 z 80 tys. Herrerów pozostało przy życiu zaledwie 15 300, a z 20 tys. Namów tylko 9700.

W rezultacie klęski Niemiec w I wojnie światowej Namibia uznana została za terytorium mandatowe Ligi Narodów, administrowane przez Związek Południowej Afryki. Po II wojnie światowej, a dokładnie w 1949 roku Związek zmienił nazwę na Republikę Południowej Afryki i równocześnie usiłował przywłaszczyć sobie administrowane terytorium Namibii. Tej samowoli zdecydowanie przeciwstawiła się ONZ, która powierzyła sprawę tę do rozpatrzenia Międzynarodowemu Trybunałowi Sprawiedliwości w Hadze. Wyrok Trybunału, ogłoszony w 1950 r., był następujący: Namibia jako terytorium mandatowe pozostaje niepodzielnie pod kontrolą Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

Przez następne 16 lat ONZ usiłowała osiągnąć porozumienie z RPA, aby wcielić w życie postanowienie Trybunału, bez rezultatu. Doprowadziło to do zwołania w 1967 roku V Nadzwyczajnej Sesji Zgromadzenia Ogólnego, które powołało Radę ONZ do spraw Namibii. Od 1973 roku Polska jest jednym z 25 państw członkowskich Rady, której powierzono wyłączne prawo do administrowania Namibią, oczywiście do czasu uzyskania przez nią całkowitej niepodległości. Niestety, i to postanowienie ONZ jest lekceważone przez RPA, która nadal bezprawnie okupuje to terytorium. Co więcej, posunięcia rasistowskiego rządu w Pretorii wskazują, iż nie zamierza on dobrowolnie zrezygnować z Namibii. Właśnie w ubiegłym roku otwarto tu jedną z największych na świecie kopalnię uranu. Dodajmy do tego jeszcze takie bogactwa Namibii, jak diamenty, rudy wanadu, cynku, miedzi, ołowiu, manganu, cyny, wolframu, a także węgla i prawdopodobnie ropy – a stanie się jasne, dlaczego RPA jest głucha na postanowienia ONZ. Nie jest zresztą w swym postępowaniu osamotniona, w eksploatacji tych bogactw partycypują przecież międzynarodowe koncerny świata kapitalistycznego, a więc na przedłużeniu okupacji zależy również wielu rządom zachodnim, chociaż oficjalnie wszyscy popierają decyzje ONZ.

Niezależnie od posunięć dyplomatycznych, od 20 lat murzyńska ludność Namibii pod przewodnictwem SWAPO (Organizacja Ludu Afryki Południowo-Zachodniej) prowadzi z okupantem walkę partyzancką. W tej słusznej walce SWAPO zyskuje na świecie coraz więcej sympatii i poparcia. Jest zresztą jedyną organizacją polityczną i wojskową uznaną przez ONZ i OJA (Organizacja Jedności Afrykańskiej), która ma prawo występowania w imieniu całej ludności murzyńskiej Namibii.

W ostatnich dniach grudnia ub. r. przebywała w Polsce na zaproszenie KC PZPR oficjalna delegacja SWAPO z jej przewodniczącym – Nujomą – na czele. Nasz kraj popiera wysiłek organizacji SWAPO w odzyskaniu niepodległości, i to nie tylko ze względu na członkostwo w Radzie ONZ ds. Namibii, ale po prostu dlatego, że jest to walka sprawiedliwa.

ST. BOROWIECKI

SAGA RODU BACHLEDÓW

Bywało, że na ćwiczeniach solfeżu narciarz ze śpiewakiem brali się za łby, a wtedy Jędrek nie słyszał swego głosu, tylko świst wiatru i szurgot pędzących po ośnieżonym stoku desek. Kiedy w Szczyrku odbywały się mistrzostwa Polski, nie wytrzymał i zaraz po lekcjach popędził na dworzec. Na starcie slalomu specjalnego stanął obok takich narciarskich asów jak Ciaptak, Wawrytko i Płonka. Przyjęli go serdecznie, ale radzili ostrożność, by guza sobie nie nabił... Pomknął w dół, jak w transie zwijał się między tyczkami, szusował przez groźne muldy, padaki i hopki, by z szybkością wichru przemknąć linię mety. Wspaniała to była jazda i niespodziewany sukces – mistrzostwo Polski. Starzy gazdowie jeszcze dziś, po dwudziestu ośmiu latach, wspominają jak to do Szczyrku przyjechał pan w kapeluszu, powiesił go na kołku, przypiął deski i wykosił wszystkich jak chciał.

Jasiek nadal zapisuje karty historii słynnego narciarskiego rodu

Jędrkowe pasje

Miał w sobie Jędrek dwie ogromne pasje – narciarstwo i muzykę. Ale do desek ciągnęło go bardziej niż do skrzypiec, które dziadek Gąsienica Krzysiu – sławny na całym Podhalu muzykant – wnuczkowi do rąk wciskał. Znikał więc z domu na całe popołudnia, by z Jaśkiem Pawlicą i Józkiem Uznańskim szusować po ośnieżonych trasach.

Tuż przed wojną Andrzej Bachleda-Curuś, jeszcze narciarski żółtodziób, pokonał w slalomie całą czołówkę seniorów. Przepowiadano mu wtedy wielką sportową sławę, ale lata wojny... Hitlerowcy nawet byle jakie narty konfiskowali. Wyzwolenie Jędrek uczcił ślubem z Maryną Wawrytkówną, śliczną dziewczyną i doskonałą narciarką. Teraz już razem trenowali i zdobywali narciarskie laury. Choćby te w 1945. Jędrek pokonał swoich rywali, a Maryna – całą babską czołówkę.

W rok później znalazł się w reprezentacji kraju. Na zawodach w Bańskiej Bystrzycy nikt jednak nie zwracał na niego uwagi. Dotknięty do żywego udowodnił, że należy się z nim liczyć. W gazetach później pisali, że sensacja, bo międzynarodowe zawody wygrał nikomu nie znany Polak. Nieco później małżeński duet zdobywa mistrzostwo Polski. Radość w sławnych rodach góralskich Wawrytków i Bachledów była ogromna.

Coraz silniej odzywała się jednak w Jędrku ta druga pasja – muzyczna. Na skrzypcach uczył się już dziesięć lat. Lubił też śpiewać, może bardziej niż grać. Usłyszał kiedyś jego śpiewanie profesor Wierzuchowski z Krakowa i dotąd nie ustępował, aż Bachleda zdecydował się na śpiewaczą edukację w Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach. Był to rok 1948; miał wtedy 24 lata. Ale jeszcze w dwa lata później wahał się, które deski wybrać – estradowe czy narciarskie. W wyborze pomógł mu przypadek. Zachorował solista Bogdan Paprocki i Jędrek go zastąpił. Śpiewał „Sonety Krymskie" do muzyki Moniuszki i wtedy w całej krasie ujawnił się jego śpiewaczy talent. Kończy studia i rozpoczyna karierę artystyczną w filharmonii krakowskiej.

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

uczniak

SZKOŁA PODSTAWOWA NR 6 IM. R. TRAUGUTTA

– A jakże, są – uśmiecha się pani bibliotekarka. – W sobotę nie ma tu typowej atmosfery czytelni. Szum i gwar wypełnia ciche przez cały tydzień pomieszczenie. Zresztą proszę zobaczyć.

I rzeczywiście. Grupa dziewcząt i chłopców ze Szkoły Podstawowej nr 6 w Lublinie o czymś bardzo głośno dyskutuje. Walczą o każde napisane zdanie, ba, o każde słowo, ścierają się zdania i opinie. Dopiero w chwilę później dowiaduję się, że przygotowują kolejny numer gazety „Uczniak", no i jak zawsze – mają trudny orzech do zgryzienia, bo...

Wojtek: Te wszystkie wypowiedzi, które zebrałem na temat „Jacy jesteśmy" są naprawdę autentyczne, trafne i bardzo osobiste. Nie wydaje mi się, by można było je skracać, zmieniać, czy chociażby uściślać. Tak, bo wówczas cały temat zupełnie nie ma sensu.

Czarek: Ale czemu one właściwie mają służyć, co wnoszą nowego do naszej gazety?

Beata: Dobrze, ale zastanów się Czarek czemu służą inne materiały. Ot, choćby te o czynach społecznych. Czy przez to, że o nich piszemy bardziej je lubimy? Jeśli więc uważasz, że to niczemu nie służy, to właściwie po co się tu zbieramy, po co drukujemy? Zróbmy z tych wypowiedzi pamiętnik...

Wojtek: O, co to, to nie. Po to wszyscy pisali, żeby teraz ktoś z nas opracował i podpisał się sam?!

Beata: Ale przecież z rozkładówki nie możemy robić strony zwierzeń.

Do dyskusji włącza się opiekunka szkolnej gazetki pani T. Wojtulewicz, lecz nie na długo, bo...

– Proszę myśleć naszymi kategoriami, a nie tak jak dorośli – denerwuje się Darek. – To są nasze sprawy, czasem wesołe, czasem przykre i smutne, i dlatego koniecznie musimy o tym pisać. I to pisać całą prawdę jacy jesteśmy, jak widzimy siebie i swoich kolegów. Czy rzeczywiście jesteśmy tacy najgorsi, jak określają nas starsi. A rozkładówka jest dla takich spraw, dla naszych bolączek. Już sam tytuł „porozmawiajmy o sobie" mówi sam za siebie. A poza tym skoro pisaliśmy o przyjaźni, uprzejmości, dlaczego nie możemy szczerze napisać o dobrych i złych stronach naszego charakteru.

„Uczniak" – to nie ścienna gazetka, czy też zbiór wiadomości szkolnych wywieszanych w gablocie na korytarzu, ale normalna gazeta drukowana w prawdziwej drukarni, w Lubelskich Zakładach Graficznych.

Początki były trudne. Właśnie wspomnienia o nich można znaleźć w jednym z późniejszych numerów członków kolegium.

Wszystko zaczęło się od tego, jaką myśl przewodnią wybrać do pierwszego numeru „Uczniaka". Długo dyskutowaliśmy. Musi on oddawać nurtujące nas problemy. A mamy ich wiele: Jak żyć? Jak pomóc koledze? Czy znam tego, kto siedzi ze mną już trzeci rok w ławce? Co robić w sytuacji, gdy chcę być sam ze swoimi problemami, a koleżanka uparcie chce mi pomóc? Czy zawsze można korzystać z pomocy innych, a co wówczas z ambicją?

Tyle wątpliwości, tyle poszukiwań i w takiej właśnie sytuacji naelektryzowanej problemami ktoś zacytował słowa hymnu naszej szkoły: „Swój mały kosmos poznać chciej".

I stało się. Wiedzieliśmy już, że te słowa będą pobudzać nas do przemyśleń, dyskusji przez długie tygodnie przygotowań pierwszego numeru.

Pomagały nam w tym również wypowiedzi ankietowe naszych kolegów.

Beata Falkowska z klasy VIII b napisała: *„Nasz mały kosmos... Jest nim szkoła i dom, zainteresowania. Każdy ma swoje własne sprawy, dążenia, kłopoty. Ale przecież nie żyjemy sami. Wokół są LUDZIE.*

W naszym małym kosmosie powinno znaleźć się miejsce na uśmiech, pomocną rękę dla innych. Tylko wtedy będzie radość i przyjaźń, tylko wtedy nasz kosmos stanie się prawdziwy".

Dziesięcioosobowe kolegium redakcyjne nie byłoby w stanie samo robić gazety, bo i o materiały trudno i o wielu ciekawych sprawach nie wiedzieliby, gdyby nie stała sieć korespondentów gazety, a właściwie łączników klasowych.

– Na tego łącznika też mnie wypchnęła klasa – śmieje się Andrzej, obecnie członek kolegium. – Wiedziałem od brata, który był wówczas naczelnym naszej gazety, że to dość ciężka praca. A że fajna i ciekawa? Jaka tam fajna, już na pierwszym zebraniu odniosłem zupełnie inne wrażenie. Dyskutowali długo i burzliwie na bliżej nieokreślony, oczywiście w tym momencie tylko dla mnie, temat. Aż głowa mnie okrutnie bolała. Ciągle tylko petit, cicero, no i ta rozkładówka, która długo nie dawała mi spokoju. (To dwie środkowe strony gazety.) Swój pierwszy materiał o przyjaźni pisałem prawie dwa tygodnie. Napisałem aż trzy strony. Po przeróbkach zostały zaledwie trzy... zdania, ale były na rozkładówce.

Pierwszy numer „Uczniaka" ukazał się w marcu 1973 roku. Na uroczystym apelu szkolnym każdy uczeń otrzymał gazetę. Radość była ogromna. Każda przerwa to zbiorowe czytanie. W następnym numerze korespondenci z klas pierwszych donoszą: *„Wszyscy uczniowie z ich klas samodzielnie przeczytali „Uczniaka". Podobno z wielkim zainteresowaniem".*

– Dla nas najtrudniejszą sprawą jest sprawdzanie materiałów – mówi szef „Uczniaka", Darek Salata z VII klasy. – Bo to albo styl jest niezbyt poprawny, albo brak jest konkretnej myśli. W ubiegłą sobotę mieliśmy problem z takim właśnie materiałem. Koleżanka pisała, że miała przyjaciela, że był sympatyczny, że jak wyjeżdżał, to ona stała na peronie, że... Na to nasza pani, że nie może pójść, bo nie ma konkretnego zakończenia. Naprawdę byliśmy w kropce, sam materiał nam się podobał, był taki dziewczęcy, trochę z łezką i... poszedł.

Przyjęliśmy zasadę nie wyrzucania materiałów do kosza. Najważniejsze, żeby był problem i żeby wszystko, co zamieszczamy w gazecie odzwierciedlało nasze sprawy, to, czym żyjemy na co dzień. A styl zawsze można dopracować. Jest więc kącik biologiczny, kolumna szkolnego humoru i mody, sportowy, przewodnik turystyczny i oczywiście cała strona o naszych drużynach harcerskich, bo harcerze piszą najwięcej i mają naprawdę dobre pomysły.

„Uczniak" – gazeta młodzieży i dla młodzieży, ale nie tylko. Wiele drukowanych artykułów wykorzystują nauczyciele jako tematy godzin wychowawczych. Jest również świetną lekturą dla rodziców, gdyż bliżej pozwala poznać młodzieńcze, lecz często także poważne problemy swoich dzieci.

Dyskusja nad tematem „Jacy jesteśmy" dobiegła końca. Wybrano materiały do druku. Ale posiedzenie kolegium jeszcze się nie kończy. Trzeba zrobić korektę wydrukowanych kolumn nowego numeru szkolnej gazety. Za tydzień dziewiąte wydanie „Uczniaka" dotrze do rąk czytelników.

DANUTA ZIELIŃSKA

REDAKCYJNA POCZTA

Dlaczego złamał obietnicę?

Trzy lata temu w czasie pobytu na wakacjach poznałam bardzo fajnego chłopaka. Przed moim wyjazdem obiecaliśmy sobie, że będziemy pamiętać zawsze o naszej miłości. W czasie tych wakacji spotkaliśmy się znowu. Lecz on nie pamięta o tamtych obietnicach! Na żadnej zabawie nie poprosił mnie do tańca. Zachowywał się tak, jakby nie składał nigdy żadnych obietnic. Dowiedziałam się, że ma inne dziewczyny. Bardzo mnie to boli. Czy tak można postępować? Czy trzy lata rozłąki to tak wiele?

Ewa

OD REDAKCJI: Wakacyjne znajomości kończą się najczęściej wraz z latem. Trzeba się niestety z tym pogodzić, choć czasem to niełatwe. W tym wypadku nie możesz mieć więc do chłopaka pretensji.

Czy znów minie bez echa

Nie ma dla mnie miejsca na świecie. W moim życiu nie ma miejsca na przyjaźń i ciepło. Jestem kaleką. Czy to wstyd? Niesprawne nogi zastępują mi kółka wózka inwalidzkiego. Ile mam lat? Mam wrażenie, że bardzo dużo. Chciałam korespondować – mój adres ukazał się na łamach jednej z gazet. Minęło bez echa. A tak potrzebuję przyjaźni, szczególnie ze strony chłopców. Ale to brzmi jak bajka o siedmiu krasnoludkach i Królewnie Śnieżce. Ja nie mam siły tak dłużej żyć. Ciągle sama. Żeby choć list, choć jedno ciepłe słowo... Ten list jest moją ostatnią deską ratunku. Boję się jednak, że znów pozostanie bez echa.

Iza

Grażyna Wojtaszek zam. 66-407 Gorzów Wlkp. ul. Stilonowa 12 m 1, uczennica Studium Wychowania Przedszkolnego, zbiera gry, zabawy, teksty piosenek dla przedszkolaków. Pragnie korespondować z osobami przygotowującymi się do zawodu przedszkolanki.

Zastanawiam się, czy warto

Chodzę do I klasy LO w Dąbrowie Tarnowskiej. W szkole podstawowej należałam do harcerstwa i w LO zapisałam się również, bo myślałam, że będzie jeszcze fajniej niż w podstawówce. Okazało się, że jest całkiem inaczej. Już na pierwszej zbiórce był okropny chaos, ale pomyślałam sobie, że to pierwsze spotkanie. Niestety, z każdą kolejną zbiórką jest coraz gorzej, nudno, każdy robi, co chce: jedni rozmawiają, inni kłócą się. Może nie będziecie wierzyć, ale tak jest naprawdę. Inaczej wyobrażałam sobie zbiórki i pracę w harcerstwie w LO. Zastanawiam się, czy warto do takiej drużyny należeć.

Blanka

OD REDAKCJI: Czy naprawdę rezygnacja z pracy w harcerstwie jest najlepszym wyjściem? Czy to zmieni istniejącą sytuację? A może nie jesteś jedyną osobą, która nie pochwala takiej działalności? Powinniście najbliższą zbiórkę poświęcić omówieniu tych spraw. Wierzymy, że pomysłów sensownego działania Wam nie zabraknie. Czekamy na list od Twojej drużyny. (ds)

SAGA RODU BACHLEDÓW

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

Narciarz we fraku

Bachleda-narciarz nie dawał jednak za wygraną i Bachleda-śpiewak jeszcze raz ustąpił zadziornej góralskiej naturze. Minęło akurat sześć lat od ukończenia studiów, kiedy wraca na narciarskie trasy. Syn Jędruś ma już dziewięć lat, Hania siedem, a najmłodszy Jasiek pięć lat. „Stary" Jędrek znowu znalazł się w kadrze narodowej, ale pierwsze miejsca na zawodach zajmują już inni. Wraca na estradę...

Szybko zdobywa artystyczną sławę. Czystość jego głosu i absolutny słuch muzyczny wzbudzają podziw na estradach wszystkich filharmonii w kraju, w Pradze i Moskwie, w Bukareszcie i w czasie tournée po USA. Bywało jednak, że równocześnie pakował do walizki frak, a do plecaka strój narciarski. I znowu ten Szczyrk... W 1958 odbywały się tam mistrzostwa Polski, a w Warszawie – koncert pod batutą Stanisława Wisłockiego. Jedzie do Warszawy, śpiewa tam „Harnasi" Szymanowskiego. Ale zaraz po koncercie, jak stał, pojechał na zawody...

Piekielnie trudny slalom. Przed nim odpadli już najgroźniejsi rywale – Ciaptak i Zarycki. Bachledę tylko dwie bramki dzieliły od sukcesu, kiedy wyleciał z trasy. Poturbowało go strasznie. No cóż, brak treningu i nogi nie wytrzymały szalonego pędu. To już koniec narciarskiej kariery. Ale co to? Czyżby spiker zawodów zapowiadał jego kolejny start? Nie, to Jędruś, jego 11-letni syn, wystartował jako „vorlauter" do drugiego przejazdu mężczyzn... Teraz on będzie sławił ród Bachledów-Curusiów na narciarskich trasach.

Druga zmiana

Slalom specjalny – jedna z najtrudniejszych narciarskich konkurencji. „Ałuś" pojechał znakomicie. Coś się jednak stało, bo oto podchodzi do sędziów i prosi o dyskwalifikację. Tego jeszcze na zawodach nie było! Zaskoczonych sędziów z uporem przekonuje, że ominął bramkę i zwycięstwo w tym przejeździe nie jemu się należy. To była największa sensacja zawodów w Aspen (USA). Za swój sportowy gest Polak otrzymał puchar „Fair Play", ufundowany przez UNESCO w Paryżu, a prasa amerykańska nazwała go „dżentelmenem białych tras". Andrzej Bachleda-Curuś II był pierwszym polskim zawodnikiem i pierwszym narciarzem na świecie, który otrzymał to wyróżnienie!

Urodził się 2 stycznia 1947 r. Narciarskie sukcesy odnosił już jako mały berbeć na zawodach im. Kornela Makuszyńskiego. Miał zaledwie piętnaście lat, kiedy wygrał slalom z najlepszymi w kraju zawodnikami. Nieprzeciętny talent! Rok 1966 przynosi mu pierwsze wielkie sukcesy – tytuł akademickiego mistrza świata w slalomie specjalnym i wicemistrza w slalomie gigancie i kombinacji alpejskiej. „Ałuś", student Politechniki Krakowskiej, wszędzie jest wśród najlepszych.

Na igrzyskach olimpijskich w Sapporo (Japonia) nie odniósł jednak sukcesu. Przygotowany był świetnie, ale... Liczył na to, że będzie startował razem z młodszym bratem Jaśkiem, który już wtedy osiągał znakomite wyniki. Jaśka pozostawiono jednak w domu. Cały ciężar walki z najlepszymi zawodnikami świata spadł więc na „Ałusia".

W sezonie 1973/74 święci swój największy sukces. Na mistrzostwach świata w St. Moritz (Szwajcaria) zdobywa tytuł wicemistrza świata w trójkombinacji alpejskiej. Jest to ostatni występ najsłynniejszego w historii polskiego narciarstwa zawodnika.

Trzeci z rodu

Słynnego „Ałusia" często oglądamy na telewizyjnym ekranie, swój kunszt narciarski przekazuje najmłodszym. Na narciarskich szlakach pozostał jeszcze Jasiek – najmłodszy z najpopularniejszej narciarskiej rodziny w Polsce.

Jan Bachleda – Curuś urodził się 19 kwietnia 1951 r. Już jako junior wdarł się do krajowej narciarskiej czołówki. Pierwszy tytuł mistrza Polski seniorów zdobył mając 18 lat. W 1970 zdał maturę i rozpoczął studia na WSWF w Krakowie. Jego wielka narciarska sława rozpoczyna się w 1972 – wygrywa wielkie międzynarodowe zawody w Haus (Austria), a w austriackiej miejscowości Mayrhofen – slalom specjalny przed mistrzem olimpijskim z Sapporo, Hiszpanem Ochoa. Zdobył też tytuł akademickiego mistrza świata z slalomie gigancie na zawodach w Lake Placid (USA).

Historia sławnego rodu Bachledów na tym się nie kończy. Dalsze jej karty zapisuje jeszcze Jasiek. Ciekawe, który z Bachledów zastąpi go na białych trasach...

RYSZARD RATAJCZYK
Fot. CAF

Narciarz i śpiewak – Andrzej Bachleda-Curuś (z prawej) w towarzystwie Krzemińskiego, dyrygenta Skrowaczewskiego i dyrektora Filharmonii w Pradze Jana Hrdlicka

Zawsze niech będzie słońce

Jeśli ktoś przypadkowo znalazł się tego grudniowego dnia na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich, to zdziwił go niecodzienny ruch panujący w hali nr 10. Różnobarwne światła reflektorów, kolorowe transparenty, hasła pokoju, powiewające flagi różnych państw, tłum rozśpiewanych harcerzy – wszystko to składało się na niepowtarzalną atmosferę poniedziałkowego „Mitingu solidarnościowego", stanowiącego finał kampanii „Zawsze niech będzie słońce", realizowanej w drużynach Ośrodka ZHP Poznań-Rataje.

O godzinie 17 na dźwięk fanfar wszyscy podnieśli się z miejsc i odśpiewali Hymn Młodzieży Demokratycznej. Potem rozpoczęła się zabawa. Okrzyki i pozdrowienia przeplatały się z piosenkami i pląsami pionierów różnych krajów: tańczono fińską „Rullatii" i taniec angielskich marynarzy, niemieckiego walczyka i czeską „Luczkę", bawiono się przy wyliczance pionierów radzieckich, kubańskim „Fly fly" oraz francuskim „tańcu rąk". Każdej z tych zabaw towarzyszyły dziecięce pozdrowienia w różnych językach. Nie zapomniano naszych harcerskich piosenek. Był „Mały Człowiek" i popularne – z wakacyjnych szlaków – „Jagódki". Sala bawiła się, ale wśród tych pogodnych zabaw przyszedł czas na refleksje: **„Przecież nie wszystkie dzieci mogą cieszyć się i bawić tak jak my. W wielu regionach świata toczą się walki, giną ludzie, panuje głód... Nie zgadzamy się z tym!"** O tym mówiła uchwalona odezwa, która wzywała członków ZHP do podejmowania działań na rzecz poprawy sytuacji dzieci w krajach walczących.

Braterski uścisk dłoni przy finałowej „Piosence Maltańskiej" stał się symbolem więzi uczestników „Mitingu" z dziećmi całego świata.

MARIOLA ŁĄCZKOWSKA
Fot. **Marek Szymański**

PRZEJAŻDŻKI PEGAZEM

WŚRÓD NIE WIDZĄCYCH TŁUMU

Dawno już nie drukowałem Waszych wierszy. Z tym większą radością przedstawiam więc kilka z nich dzisiaj, rozpoczynając kolejny rok naszych rozmów o poezji.

otwarłam drzwi
stał jak chłopiec
gniótł w rękach
czapkę
żałował czegoś
jak ryba
poruszał wargami
powiedziałam:
nie mam
odszedł

To „spotkanie" opisane przez **Marzenę z Krakowa**, choć tak krótkie i ubogie w słowa, było przecież ważnym przeżyciem. Oto uświadomiła sobie niemożność porozumienia się z drugim, z kimś, na kim być może najbardziej jej zależało. Tęsknota za przyjaźnią, poczucie osamotnienia i zagubienia towarzyszy wielu jej wierszom. Wyraża się i w tej pozornie radosnej prośbie – „Modlitwie":

jabłkowy chłopcze
winnooki
ty, który błądzisz jesienią
po sadach
podaruj mi swoje
ręce
jabłkowy chłopcze
rumiany
który biegasz z wiatrem
między liśćmi
podaruj mi swoje
skrzydła

Marzena szuka. Bezustannie poszukuje sensu w swym świecie, pewności, że dobro właściwie odróżnia od zła, że słusznie postępuje. *„W imię czego?"* – pyta w *„Życiorysie nie dokończonym"*, w którym ukazuje, jak skomplikowane staje się życie, gdy wyrasta się z lalek i misiów, gdy słowa rodziców przestają być jedynym drogowskazem. Ten brak pewności sprawia, że często udaje, przybiera maskę, że boi się szczerości wobec innych, choć jej brak najbardziej ją zarazem męczy:

MÓJ CZAS

pochylam się nad szklanką
przesłodzonej kawy
rozgniatam w palcach
twardy piernik
mnę opakowanie
angielskiej czekolady
po ciemku patrzę w lustro
maluję paznokcie
na czerwono
albo
na niebiesko
zakładam koturny
i komiczną maskę
o żałosnym wyrazie

Dlaczego pisze? Może dlatego, że wypowiadając swoją samotność liczy na zrozumienie podobnie jak ona samotnych? Może pisząc łatwiej jest jej „oswoić" otaczający ją świat? A może to kwestia jej wrażliwości?

„Nie uważam" – stwierdza Marzena – *że poeta jest istotą absolutnie wyjątkową, choć z pewnością obdarzony jest większą niż inni wrażliwością, którą kształtuje i rozwija w sobie tworząc."*

To prawda – poeta widzi więcej niż inni. Lecz czy zawsze musi być sam? I Marzenę to zastanawia:

wśród niewidzących tłumu
znalazłam
grosik
wdeptany w kurz chodnika
bezlitośnie
zacisnęłam w palcach
srebrny krążek
mocno
aż do bólu
. . . . . .
potem
widziałam jeszcze
jak schylał się po niego
ktoś inny

Ten „ktoś inny" – to może **Bogusław z Warszawy**, którego dwa wiersze, tak bliskie temu, co dręczy Marzenę, drukuję poniżej. A przecież takich jak oni jest znacznie więcej w „niewidzących tłumie"!

Julek

* * *

dziś
jest wieczorek zapoznawczy
z nami wszystkimi
wypłowiałymi ludźmi
trudnymi do identyfikacji
bez nadziei
na odnalezienie się
rozwieszającymi na słupach
ostatnie już kartki:
ZAGINĄŁEM...
KTOKOLWIEK WIE...

* * *

znowu samotny
jakby wczoraj z kimś
snuję się w sobie
bezradny
z walizką pełną siebie
odchodzę poszukać miejsca
gdzie zmieści się wszystko
znowu śledzę swoje kroki
odgaduję myśli
karmię wspomnienia z ręki

ZŁOTE KLAMKI W BYDGOSZCZY

Jak dobrze mieć sąsiada!

BYDGOSZCZ (PAP). A jeśli na dodatek jest to sąsiad podobny do tego z osiedla Błonie w Bydgoszczy, to mamy już pełnię szczęścia. W tutejszym Spółdzielczym Domu Kultury „Orion" robi się wszystko, żeby poznać i zaprzyjaźnić wszystkich sąsiadów. Służą temu przeróżne imprezy, organizowane przez ośrodek od dziesięciu już lat, wśród których, obok działań tradycyjnych w rodzaju kółek zainteresowań dla młodzieży i dorosłych, kursów nauki języków obcych i rękodzieła, proponuje się nowe i niespotykane gdzie indziej imprezy. Na przykład **„Imieninowe koktajle"**, czyli wieczory dla wszystkich solenizantów danego miesiąca z tańcami, występami i poczęstunkiem w gronie bliższych i dalszych sąsiadów. A **„Spacery z czworonogiem"** – czyli konkursowe przeglądy najczęściej hodowanych zwierząt domowych, zbliżające przy okazji właścicieli i ich podopiecznych do siebie, a **„Galeria podwórka"**, która ma kształtować estetyczne gusty mieszkańców (stąd plenerowe wystawy tego, co wisi w domowych czterech ścianach i późniejsza ocena plastyków – profesjonalistów) – to nie tylko znakomita zabawa. Ale to jeszcze nie wszystko! Ostatni piękny pomysł „Oriona", to „Nieustający plebiscyt złotej klamki". Dostać ją może każdy mieszkaniec osiedla, którego drzwi zawsze stoją otworem dla innych, który życzliwością i pomocą służy innym sąsiadom.

(tem)

Korespondencja własna
z Jemenu Północnego

CO ZROBIĆ Z „KATEM"

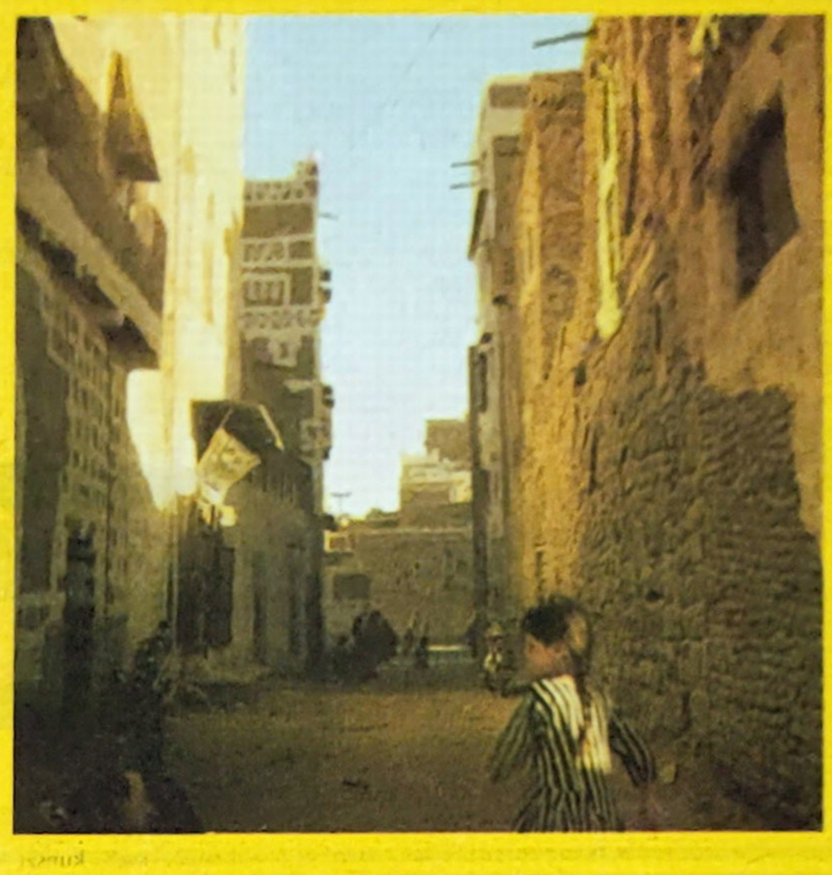

Przed kamiennym domem-twierdzą, którego jedyną ozdobę stanowiły koronkowe ramy okien i biała fasada rzeźbionego balkonu, zebrał się tłum dzieci i wyrostków. Taki tłum może na ulicach Sany wyrosnąć jak spod ziemi w najbardziej nieoczekiwanym momencie. Idziesz głuchą, ciemną uliczką-tunelem między kamiennymi domami i słychać tylko głos twoich kroków, lecz spróbuj wyciągnąć aparat fotograficzny, a ze wszystkich tych domów zamkniętych zda się na cztery spusty wysypują się dzieci, obskakują przybysza dokoła i proszą o zrobienie zdjęcia. Ale nie wystarczy im jedno, dwa; towarzyszą obcemu z życzliwą, acz natarczywą ciekawością, rade otrzymać jakiś upominek.

Ale tym razem przyczyną nagłego zbiorowiska tłumu nie była osoba reporterki, lecz miejscowy weterynarz. Ubrany z fantazją, która cechuje strój Jemeńczyków, w turbanie misternie upiętym na czubku głowy, w szeroko rozchełstanej koszuli ściągniętej ozdobnym pasem, przy którym wisiał bogato rzeźbiony miecz – dżambija, otwierał przemocą paszczę osła, wpychając mu do gardła całe jajka. Spożywane w całości mają podobno wzmóc apetyt zwierzęcia, które wciąż jeszcze obok wielbłąda pełni rolę głównego środka pociągowego w Jemenie.

Południowi Arabowie

Zgromadzona gawiedź pokrzykiwała, osły ryczały i cała ulica pełna była hałasu. Zza kamiennych wrót zabiegowi przyglądali się brodaci mężczyźni, a z wysoko nad ziemią umieszczonych okien ciekawie zerkały kobiety, którym tradycja zabrania mieszać się do męskiego towarzystwa. Z sąsiednich uliczek ciągnęli zwabieni gwarem przechodnie, a ten i ów żywo objawiał radość ze spotkania znajomka lub krewniaka. Była to radość spontaniczna, lecz mocno objęta ramami konwencjonalnych gestów i zwrotów. Wymiana powitalnych serdeczności to cały ceremoniał bogato celebrowany u ludów Wschodu. Inne powitanie zarezerwowane jest dla naczelnika rodu, inne dla przedstawiciela władzy państwowej, jeszcze inne dla zwykłego członka klanu. Tak więc obcałowywano się i ściskano w zależności od wieku i rangi społecznej rodu – mężczyźni całowali się w policzki, w dłonie i łokcie.

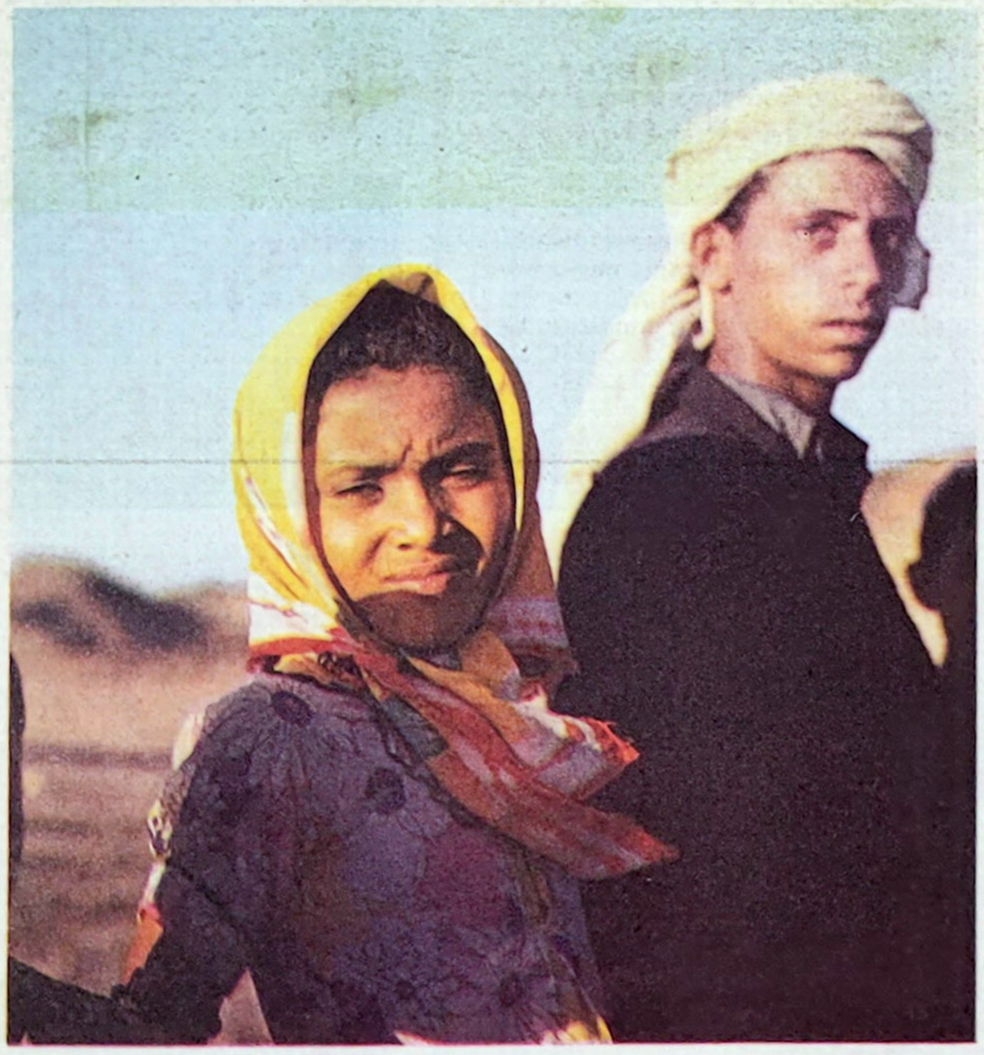

Patrzyłam na rozjaśnione uśmiechami twarze – biła z nich szczerość i bezpośredniość oraz wzajemna życzliwość, która cechuje tradycyjne społeczności ludzkie, gdzie nie wtargnęła jeszcze cywilizacja pełna pośpiechu i nietolerancji.

Drobni, chudzi Jemeńczycy wyróżniają się wyglądem, ubiorem, obyczajem od innych swych braci z półwyspu i świata arabskiego. Należą do kręgu tzw. Południowych Arabów, ludów osiadłych, zajmujących się ongiś handlem i rolnictwem. Stworzyły one wysoko rozwiniętą cywilizację rolniczą setki lat przed erą islamu, silnie związaną z ośrodkami wielkich kultur tego rejonu – Mezopotamią i kulturą Sumerów. W Jemenie Północnym, który podobnie jak Jemen Południowy stosunkowo późno wszedł w kontakt ze światem europejskim, zachowało się po dziś dzień oryginalne budownictwo miejskie, wzorowane na babilońskim. Polega ono na układaniu całych bloków skalnych bez użycia murarskiej zaprawy.

Sana jest prawdziwą staroarabską fortecą, otoczoną glinianymi murami, mocno już nadwątlonymi przez czas. W systemie murów znajdują się wieże strażnicze, strzegące bram miasta. Jeszcze 15 lat temu, tj. do czasu rewolucji 1962 r., która obaliła średniowieczny system władzy – imanat, sięgający początków ery islamu, do miasta można się było dostać tylko przez jedną z tych bram, okazując glejt z podpisem samego imama. Z tego względu liczba Europejczyków, którym w tamtym okresie udało się dostać do Sany, była stosunkowo niewielka.

Imam rządził w Jemenie niby absolutny władca w oparciu o liczne zastępy dworzan, tajną policję i jej zauszników, tzw. oczy i uszy królewskie. W jego imieniu wymierzano sprawiedliwość według pradawnego kodeksu moralnego, znanego już w czasach Hammurabiego: „oko za oko, ząb za ząb". Jeśli kogoś przyłapano na kradzieży, obcinano mu rękę, jeśli rzucił na kogoś obelgę, pozbawiano go języka.

Nowe i stare

Dziś nie ma już tu absolutnej władzy imamów, obalono prastare praktyki sądownicze, wprowadzono nowy kodeks prawny. Życie w Sanie i całym Jemenie Północnym ulega powolnej modernizacji. Nie tak dawno w stolicy założono elektryczność, instaluje się kanalizację. Powstało nowe centrum miasta na miejscu dawnego placu publicznych egzekucji.

Jednocześnie nadal buduje się w dawnym stylu „babilońskim", choć oczywiście modernizuje się wnętrze. Odnosi się to również do starych zabytkowych pałaców imamów, których odnowione elewacje błyszczą na tle szarych murów. Powiedziano mi, że Jemen pragnie zachować wzory starej kultury materialnej, która przetrwała dotąd, budząc podziw przybyszów z Europy coraz liczniej odwiedzających i ten zapomniany do niedawna zakątek świata arabskiego. Potomkowie dawnych Sabejczyków, Maaneńczyków i Katabańczyków, którzy stworzyli swego czasu legendarne królestwa „Arabii Szczęśliwej", są dumni ze swej przeszłości, życzliwi i przyjaźni wobec gości.

Do swoich domów najchętniej zapraszają w porze popołudniowej, kiedy urzędy zamykają podwoje przed petentami, a uliczki wyludniają się z przechodniów. Jest to pora sjesty, poświęconej zbiorowemu na ogół konsumowaniu pewnej specyficznej jemeńskiej używki o nazwie „kat".

Czymże jednak jest „kat", sprzedawany na bazarze i u wejścia do lokalnych restauracyjek? To roślina wysokogórska, występująca tylko w górach Jemenu Północnego i w pewnych okolicach wysokogórskich w Etiopii (rośnie tam w niewielkiej ilości). Zwyczaj żucia „katu" przyjął się w Jemenie prawdopodobnie jakieś dwa wieki temu. Wspomina już o nim pewien francuski podróżnik przed 150 blisko laty, stwierdzając powszechne stosowanie tej używki przez ludność jemeńską.

Lokalne podanie mówi, że pewien pasterz zauważył, że jego owieczki delektują się z upodobaniem liśćmi pewnego krzewu. Stały się potem niezwykle ożywione, biegały i skakały z niewiarygodnym wigorem. Wziął więc przykład ze swego stada i po skosztowaniu stwierdził, że „błoga to jakaś roślina". Zachęcił więc innych do żucia.

„Kat" ma dwie strony

Bo „katu" właściwie się nie żuje, wysysa się sok, a przeżutą papkę wyrzuca, popijając wodą lub wyciągiem z kawy-giszr. „Kat" jest rodzajem lokalnego narkotyku, choć niektórzy uważają, że jest to bardzo słaby narkotyk. Ma właściwości lekko odurzające, wprawia w błogi nastrój. Opinia w Sanie jest podzielona, jeśli idzie o „kat". Jedni podkreślają dobre właściwości „katu", który pokrzepia, usuwa zmęczenie i wpływa dodatnio na człowieka, drudzy mówią, że rujnuje zdrowie, szkodzi żołądkowi i w ogóle systemowi trawiennemu. „Kat" w przeciwieństwie do artykułów żywnościowych jest dość tani i prawie każdego stać na kupno. Ale żołądka się nie oszuka. Jemeńczycy odżywiają się bardzo niewłaściwie, a czasem po prostu głodują. Przeciętna ich wieku waha się w granicach 40 lat.

Witki świeżo zerwanego „katu" zwykle dla utrzymania wilgoci skropione wodą, owinięte w bawełniane płachty, docierają do Sany około południa. Kupcy transportują je na osiołkach, choć ostatnio coraz częściej zastępuje je samochód dostawczy. „Kat" stał się bowiem rośliną dochodową i coraz więcej chłopów i właścicieli ziemskich zaczyna ją uprawiać zamiast kawy i zboża. Już od dawna mówi się w Jemenie, że „kat" zjada kawę. Jemen był kiedyś słynnym eksporterem kawy – z tego kraju wywodzi się przecież „Mokka", od nazwy portu Mocha nad brzegiem Morza Czerwonego. Ale wiele plantacji kawy zostało już dawno zamienionych na plantacje „katu" i to samo zaczyna się dziać z poletkami zboża.

Nic też dziwnego, że kraj, który słynął w starożytności z obfitości wszelkich dóbr, a przede wszystkim obfitości jedzenia, dziś sam musi importować żywność. A przecież wystarczyłoby zmienić zachwianą równowagę – zwiększyć uprawę zbóż, choćby kosztem „katu". Jak dotąd nic się nie zmienia, „kat" jest silniejszy niż wszystko...

GENOWEFA CZEKAŁA
Fot. **autorki**

EKRAN

„ASY PRZESTWORZY"

Na widowni siedzieli prawie sami mężczyźni w wieku od 14 do 40 lat. Zwabiła ich do kina chęć obejrzenia filmu o bohaterskich angielskich lotnikach walczących w czasie I wojny światowej. Kiedy po projekcji opuszczali salę, robili wrażenie zaskoczonych i nieco rozczarowanych.

Scenariusz filmu powstał na podstawie głośnej swego czasu sztuki Roberta C. Sherriffa „Koniec podróży", napisanej w dziesięć lat po I wojnie, utworu dotykającego najtragiczniejszych doświadczeń wojennych, w swej wymowie pacyfistycznego. W latach 1914–1918 lotnictwo, jako zupełnie nowa broń, zostało wprowadzone do działań wojennych. Starzy angielscy sztabowcy nie rozumiejąc specyfiki walk lotniczych wydawali wielokrotnie decyzje, które były wyrokami śmierci dla pilotów. Samoloty nie były np. wyposażone w spadochrony, bo mogłoby to wpływać ujemnie na odwagę pilotów. Skutek – lotnik w roku 1917 w jednostce frontowej miał szansę przeżycia przeciętnie... 14 dni. Śmiertelne zagrożenie było więc znacznie większe, niż w jakiejkolwiek innej frontowej jednostce. Na film składa się właśnie 14 dni życia pilota Crofta – młodziutkiego chłopca, który po ukończeniu gimnazjum i odbyciu piętnastogodzinnego przeszkolenia w powietrzu został skierowany do Royal Flying Corps – walczących we Francji jednostek brytyjskiego lotnictwa. Croft, jak wielu jego rówieśników, na front szedł z entuzjazmem – przepojony wzniosłymi ideałami bohaterstwa, zafascynowany romantyką przestworzy, które stanąć miały przed nim otworem. Tymczasem już pierwszy dzień na froncie był inny niż młodzieńcze marzenia. A czternastego dnia zginął – na jego miejsce przysłano trzech następnych asów, tym razem po czternastogodzinnym przeszkoleniu.

Reżyser filmu, Jack Gold, eksponuje w filmie ton pesymistyczny. Piloci – to ludzie, którzy, jak każdy, za wszelką cenę chcą przeżyć wojnę, a mają na to szanse bardzo nikłe. Atmosfera kasyna oficerskiego, w którym spędzają wolny czas, jest przytłaczająca. Lotnicy cierpią na straszliwe ataki lęku, usiłują zagłuszyć je alkoholem i... czekają na rozkaz-wyrok.

Reżyser wiele uwagi poświęcił również widowiskowej warstwie filmu. Przy współpracy producenta Benjamina Fisza, byłego żołnierza polskiego lotnictwa, odtworzył bardzo wiernie „świat" starych samolotów, które nie tylko latają, ale też wykonują niezwykle precyzyjnie ewolucje powietrzne. Sceny pojedynków lotników angielskich z niemieckimi są nakręcone mistrzowsko.

Takie samoloty jak te oglądaliśmy już w filmie „Ci wspaniali mężczyźni w swych latających maszynach". Do obu filmów zostały one wypożyczone z firmy „Personal Planes Services", która je rekonstruuje i, jak widać, wspaniale konserwuje. Są to brytyjskie samoloty „SE5" oraz „AURO504" i niemieckie – Fokker E3 i „Albatros". Jest więc na co popatrzeć i nad czym pomyśleć. A dodatkowo atrakcją jest znakomita obsada: w roli Greshama – dowódcy korpusu – popularny aktor angielski Malcolm McDowell, w roli Crofta – Peter Firth, prócz tego znakomici Simon Ward i Christopher Plummer.

(eb)

Młody „as" przestworzy Croft – czyli Peter Firth.

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

MOJA KOLEKCJA (12)

ISOTTA – FRASCHINI Z ROKU 1930

Z wytwórni samochodowych, które już dziś nie istnieją przedstawiam samochód marki ISOTTA-FRASCHINI. Marka samochodu stanowi zarazem nazwę wytwórni, która powstała z połączenia nazwisk jej założycieli – Cesare Isotty i Vincenzio Fraschiniego. W roku 1899 utworzyli oni w Mediolanie przedsiębiorstwo zajmujące się handlem samochodami. W związku z dużym zapotrzebowaniem na samochody doszli szybko do wniosku, że większe zyski można osiągać nie tylko z pośrednictwa w sprzedaży pojazdów, lecz także z ich wytwarzania. Pierwszy samochód z ich firmy wyruszył na drogi w roku 1902.

Wytwórnia ta w okresie swej działalności specjalizowała się w produkcji luksusowych i drogich pojazdów. Nabywcami jej wytworów byli przeważnie ludzie bardzo bogaci, arystokracja, a nawet głowy koronowane. Wytwarzane przez firmę Isotta-Fraschini samochody cechowały się rzeczywiście wysokimi walorami techniczno-eksploatacyjnymi. Nadwozia projektowane przez najlepszych w ówczesnych czasach stylistów i wykonywane przez specjalistyczne zakłady odznaczały się piękną sylwetką i wysokim komfortem.

Przedstawiony na rysunku model ISOTTY-FRASCHINI pochodzi z roku 1930. Samochód ten wyposażony był w ośmiocylindrowy silnik o pojemności 7372 cm sześc., rozwijający moc 170 KM przy 3000 obr./min. Napęd z silnika na tylne koła przenoszony był za pośrednictwem zsynchronizowanej, czterobiegowej skrzyni przekładniowej. Samochód ten rozwijał prędkość do 160 km/godz.

Posiadał nadwozie typu limuzyna-coupé z odkrytym przedziałem dla kierowcy i zadaszoną częścią dla pozostałych pasażerów. Takie jego ukształtowanie robiono pod gusty przyszłych nabywców – przeważnie arystokratów. Swą wyższość uzewnętrzniali oni podróżując w innych warunkach od tych, w jakich musiał prowadzić pojazd kierowca, zwany wówczas szoferem, zaliczany do ludzi niższej klasy.

Zwróćcie uwagę, że na stopniach tego samochodu umieszczona jest skrzynka, a w niej – akumulator, który ze względu na swą wielkość nie znajdował miejsca w przedziale silnikowym – jak to dzisiaj jest powszechnie stosowane.

Zakłady Isotta-Fraschini istniały dokładnie 50 lat, gdyż ostatnie pojazdy opuściły bramy zakładów w roku 1949.

ZENON DUTKIEWICZ

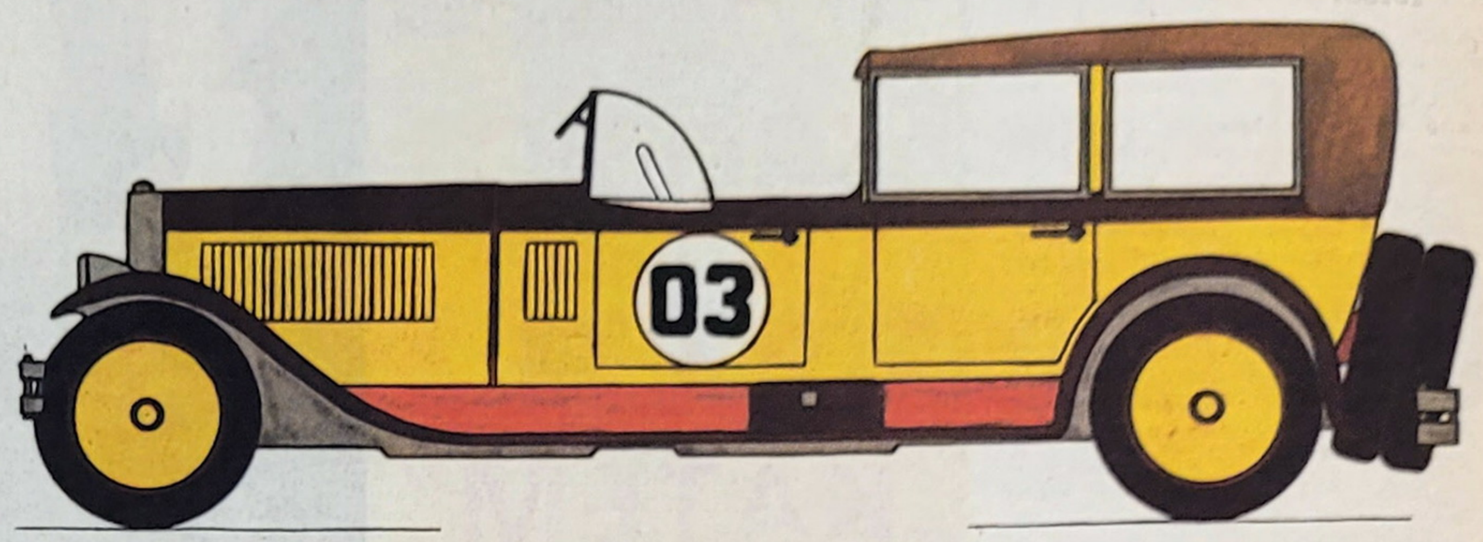

Dziwny jest ten świat...

SEKRETY CHEMICZNEJ BRONI PEWNEGO OWADA

Jeden z lekarzy armii napoleońskiej spostrzegł, że w czasie wędrówki przez Pireneje w 1808 r. na ciele wielu żołnierzy pojawiły się dziwne, sine piętna. Ocena medyka – powstały one wskutek działania na ludzką skórę kwasu azotowego, lub gazu wydzielonego przez jakieś owady.

Lekarz nie pomylił się tak bardzo. Współcześni specjaliści zajmujący się ekologią stwierdzili bowiem, że żołnierze stali się wówczas obiektem ataku, który nastąpił w akcie samoobrony... żuka *Brachynus crepitans*. I dopiero niedawno określili biochemiczne zasady jego działania.

W przyrodzie jest wiele interesujących zjawisk świadczących, że zwierzęta chronią się przed napastnikami używając „broni chemicznej". Najbardziej znany jest z tego oczywiście północno-amerykański skunks, rażący przeciwnika strugą cieczy o odrażającej woni. Ale za jeden z najciekawszych przykładów uważa się system samoobrony owego żuka, który, jeśli wierzyć historii, *„nie wahał się przed użyciem swej broni nawet przeciwko regularnym wojskom"*. Żuk ten spotykany jest w kilku rejonach świata, ma ok. centymetra długości i charakterystyczną ciemnozieloną barwę. Gdy znajdzie się w niebezpieczeństwie, strzela „chemicznym pociskiem" – towarzyszy temu także ulatnianie się żółtego dymu – i poraża napastnika w odległości do 30 cm.

A co się dzieje przed wystrzałem? Tym właśnie zagadnieniem interesowali się najbardziej specjaliści. Otóż w specjalnym, o mikroskopijnych rozmiarach, organie żuka, zachodzą dwie bardzo ciekawe z punktu widzenia chemii reakcje. W ich efekcie z nadtlenku wodoru i tzw. hydrochinonów zawartych w gruczołach owada powstaje woda, tlen oraz chinony o żółtej barwie. Ujście gruczołów znajduje się w zbiorniku akumulacyjnym. Zbiornik ten połączony jest przewodem z „komorą wybuchową". Połączenie zamyka i otwiera zawór uruchamiany oddzielnym mięśniem.

Pod wpływem zagrożenia „mieszanka bojowa" przepływa ze zbiornika do komory, z której ścianek wytryskują w tym momencie fermenty, spełniające rolę „zapalników", zapoczątkowując w ten sposób reakcję chemiczną. Zachodzi ona z ogromną szybkością, zwiększa się bowiem ciśnienie i oczywiście temperatura, aż osiągnie ok. 100 stopni Celsjusza. Zgromadzone w zbiorniku składniki reakcji chemicznej zostają wyrzucone przez rozgrzany tlen na zewnątrz. Wspomniany żółty dym, jaki się także wydostaje, dając złudzenie wystrzału artyleryjskiego, to twarde cząstki chinonów. Po wybuchu bardzo szybko następuje ponowne naładowanie całego systemu. (**PAP**)

BLIŻEJ PRZYRODY

SFOTOGRAFOWAŁEM BAŻANTA...

...napisał do nas fotograf – przyrodnik, przesyłając jednocześnie swoje prace. Jest nim **Czarek Hałat z Chełmży**, od dość dawna członek Klubu Ptakolubów.

„Fotografuję ptaki od kilku lat i zajęcie to daje mi dużo zadowolenia – pisze Czarek. – *Mam spory zbiór zdjęć o tej tematyce. W tym liście przesyłam fotografie koguta i kury bażanta oraz gniazda z niepełnym zniesieniem kokoszki wodnej z dn. 29 lipca 1977, kolejne przyślę w następnym. Posiadam aparat Zenit E, obiektyw standardowy „Helios 44" (ogniskowa 58 mm) oraz obiektyw Jupiter II–A (ogniskowa 135 mm).*

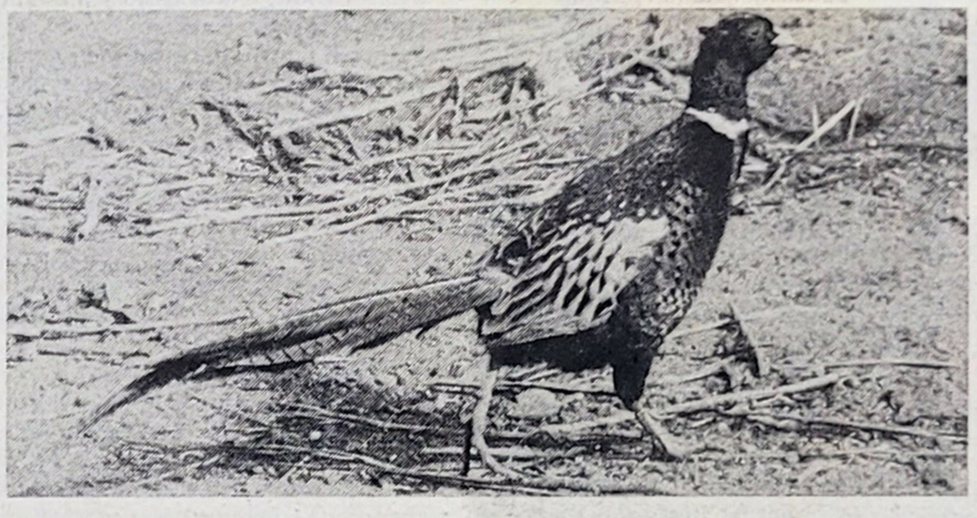

Największy kłopot sprawia mi wykonanie dobrych zdjęć w dużym cieniu, w świetle rozproszonym. Np. nie wyszło mi zdjęcie gniazda grubodzioba. Było ono umieszczone w gęstym świerku otoczonym zewsząd drzewami liściastymi. Nie chciałem dla wpuszczenia promieni słonecznych wycinać gałązek, by nie przepłoszyć właścicieli gniazda...

Na pierwszy rzut oka widać, że za mało światła padło na kliszę, stąd zaznaczyły się na niej tylko nikłe ślady obrazu. W rezultacie – na papierze fotograficznym otrzymujemy wizję mglistej nocy i znikające w jej mroku nieliczne detale. Błąd nie do naprawienia. Co więc robić w przyszłości? Oczywiście nie wycinać gałęzi, bo zaszkodzi to ptakom, a zdjęciu i tak nie pomoże. Wpuszczając do gniazda ostre światło słoneczne, otrzymamy zdjęcie kontrastowe i pstrokate, praktycznie nieczytelne. Trzeba fotografować właśnie w świetle rozproszonym. Co jednak robić, gdy jest ono za słabe? Trzeba umocować aparat w statywie i zastosować długi czas naświetlania. Statywem nie musi być drogi trójnóg, w przypadku gniazd lepszy będzie dużo tańszy metalowy uchwyt, za pomocą którego przymocowuje się aparat do gałęzi. Oczywiście fotografowany obiekt też musi być nieruchomy – nie można więc tą metodą zrobić w wietrzny dzień zdjęcia gniazda umieszczonego na wiotkim krzaku.

Inny sposób – to fotografowanie w błysku flesza. O tym, jak, i w ogóle o zdjęciach ptaków i gniazd, będzie jeszcze mowa w naszym cyklu „Fotografia przyrodnicza".

Z dotychczas nadesłanych zdjęć Czarka z Chełmży prezentujemy to, które przedstawia bażanta – koguta. (**tok**)

Fot. **Cezary Hałat**

DROGA REDAKCJO!

Po przeczytaniu w 149 nr ŚM artykułu „Rady dla początkujących hodowców" postanowiłam również prosić o radę.

Bardzo bym chciała mieć w domu kota. Cóż, kiedy każdy mój kot po krótkim czasie zdycha. Choroba objawia się wymiotami. Kot jest osowiały, źrenice ma rozszerzone. Nie chce jeść, chce się napić, ale nie może. Proszę o pomoc...

Ania z Łodzi

Chory kot

Zwróciliśmy się w tej sprawie do lekarza dyżurnego warszawskiej Przychodni dla Zwierząt.

Objawy zauważone przez naszą czytelniczkę wskazują na chorobę zwaną tyfusem kocim. Jest ona bardzo rozpowszechniona u tych zwierząt, zwłaszcza u osobników młodych. Najczęściej są nią dotknięte zwierzęta bezdomne, zabierane ze strychów, czy z piwnic. Nasza korespondentka nie pisze, niestety, skąd pochodziły koty, które próbowała trzymać w domu. Kot, u którego choroba dopiero się rozpoczyna, jest osowiały, nie ma apetytu i unika światła, za to chętnie podchodzi do ludzi. W tym stadium można go jeszcze uratować, ale konieczna jest natychmiastowa pomoc weterynarza. Gdy wystąpią ostrzejsze objawy choroby – na leczenie jest już za późno i trzeba zwierzę uśpić. Tyfus koci nie jest groźny dla innych zwierząt, nie przenoszą też one raczej zarazków tej choroby. (**tok**)

FOTOGRAFIA PRZYRODNICZA (8)

PLAN OGÓLNY

W trzech kolejnych odcinkach wyjaśniamy co to są plany w fotografii i jakie jest ich znaczenie. W zdjęciach dokumentalnych bardzo często nie jesteśmy w stanie wyrazić jednym ujęciem wszystkiego. Musimy zrobić kilka. Weźmy za przykład bagnisko, które może być przykładem planu ogólnego (dalekiego). W kolejnym ujęciu pokażemy fragment lęgu i wreszcie dostrzeżone gniazdo np. czajki. Jest to pokrewne ludzkiemu sposobowi odkrywania świata. Wcale się jednak nie zdziwcie, gdy ktoś krajobraz potraktuje jako szczegół. Przy omawianiu tematu: **„Przyroda naszego globu"** planem dalekim jest zdjęcie kuli ziemskiej, zbliżeniem fragment którejś strefy klimatycznej, a szczegółem – właśnie ów krajobraz. Podobnie planem ogólnym może być szczegół z innego tematu, np. wspomniane gniazdo czajki, gdy interesować nas będzie analiza jego budowy lub kształt i ubarwienie jej...

Pierwsze wykonane zdjęcie powinno stanowić uogólnienie, bądź wprowadzić w temat i podporządkowywać w sobie następne ujęcia. Dopiero tak wykonana dokumentacja staje się naprawdę wartościowa. Pokazuje bowiem nie tylko interesujący nas obiekt, ale i środowiska, w którym występuje.

MAREK OSTROWSKI

Fot. **Tomasz Kłosowski**

delta RADIO

Dziś w IV programie PR o godzinie 10.00!

Podajemy rozwiązanie zadania z grudniowej RADIO-DELTY:

Zadanie:
Dane są dwa koła: średnicą pierwszego jest bok danego kwadratu, a średnicą drugiego - przekątna tego kwadratu. Odcinając od mniejszego koła część zawartą w większym kole, otrzymujemy figurę zwaną księżycem. Skonstruować kwadrat o polu równym polu tego księżyca.

Rozwiązanie:
Pole księżyca otrzymamy, odejmując od pola figury zaznaczonej na pierwszym rysunku pole figury zaznaczonej na drugim rysunku.

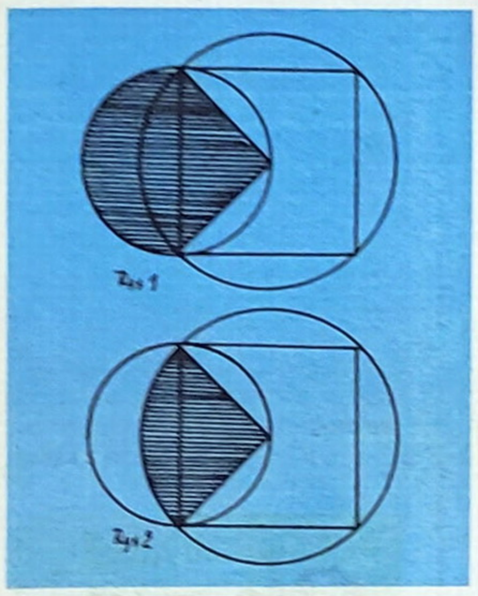

Wobec tego, jeśli długość boku kwadratu równa jest a, to pole P księżyca równe jest:

$$P = \left[\frac{1}{2}\pi\left(\frac{a}{2}\right)^2 + \frac{1}{4}a^2\right] - \frac{1}{4}\pi\left(\frac{a\sqrt{2}}{2}\right)^2 = \frac{1}{4}a^2$$

A więc długość boku poszukiwanego kwadratu równa jest po prostu $\frac{a}{2}$.

A oto treść zadania ze styczniowej RADIO-DELTY:

Bok $\overline{AB}$ kwadratu ABCD przedłużono o ustalony odcinek $\overline{BE}$.

1. Posługując się tylko dwiema ekierkami /aby móc kreślić proste równoległe/ zbudować prostokąt BEFG mający pole równe polu kwadratu ABCD.
2. Rozpatrując różne kwadraty, przy ustalonym odcinku $\overline{BE}$, między długościami boków tych kwadratów i długościami szukanych boków prostokątów, Apoloniusz dopatrzył się takiej zależności jak między współrzędnymi punktów leżących na pewnej paraboli. Czy i Ty potrafisz dostrzec tę zależność?

Rozwiązanie tego zadania należy przysyłać do 30 stycznia pod adresem:
POLSKIE RADIO, skr.poczt. 46, 00-950 Warszawa, RADIO-DELTA.

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć!

No i oddaliliśmy się znowu o jedną cyferkę od naszej daty urodzenia! To trochę dziwne, że chyba nikt na świecie nie jest tak zupełnie zadowolony ze swego wieku. Ci, co są młodsi chcieliby być starsi, a starsi daliby wiele, żeby odmłodnieć. My marzymy teraz o tym, żeby „postarzeć" o kilka tygodni i żeby już były zimowe ferie!

* * *

Coraz więcej listów z serduszkiem „P–P" wpada do naszej skrzynki pocztowej. Jest ich tyle, że chyba będę musiał otworzyć nowy kącik w „Świecie Młodych"!

Wpisuję do sekcji „P–P" Dorotę K. „Psią Mamę". Dorota przygarnęła psa pozostawionego na terenie ośrodka wypoczynkowego przez „turystów".

Nie rozumiem – pisze Dorota – *jak oni mogli tak zostawić na łasce losu tego psa. Był wychudły i pokaleczony... teraz nazywa się Gucio. Oprócz niego mam jeszcze Norkę i Reksia. Cała trójka odprowadza mnie codziennie do szkoły, a kiedy wracam – wybiegają mi na spotkanie. Myślę, że jest im bardzo dobrze u mnie...*

Przyjmuję też do naszego klubu Piotrka Jakubiaka, który karmi ptaki na parapecie swego okna. Piotrek opiekuje się też bezpańskimi kotami i psami.

Omyłkowo znalazł się w mojej poczcie list adresowany do Klubu Ptakolubów. Zbyszek Wiatr opisuje swoje ciekawe obserwacje ptaków, a także pisze, że zbudował rozmaite karmniki dla ptactwa. List Zbyszka przekazuję pod właściwy adres, a autora przyjmuję do sekcji „P–P" za dokarmianie naszych latających przyjaciół.

Następnym członkiem klubu zostaje Ewa Kędzielska, która „ma na utrzymaniu" zdziczałą kotkę.

Małgosia Jefimczyk pisze krótko: *...znalazłam psa, który trząsł się z zimna. Wzięłam go do domu i opiekuję się nim.*

Oczywiście Małgosię też wpisuję na naszą listę klubu „P–P".

Kochani! Z utęsknieniem czekam na list (choćby jeden) od z a s t ę p u lub drużyny opiekującej się zwierzętami. Czyżby wśród ważnych, harcerskich zajęć nie było już miejsca na „POMOC – PRZYJACIOŁOM"?

do zobaczenia!

Wasz RZEP

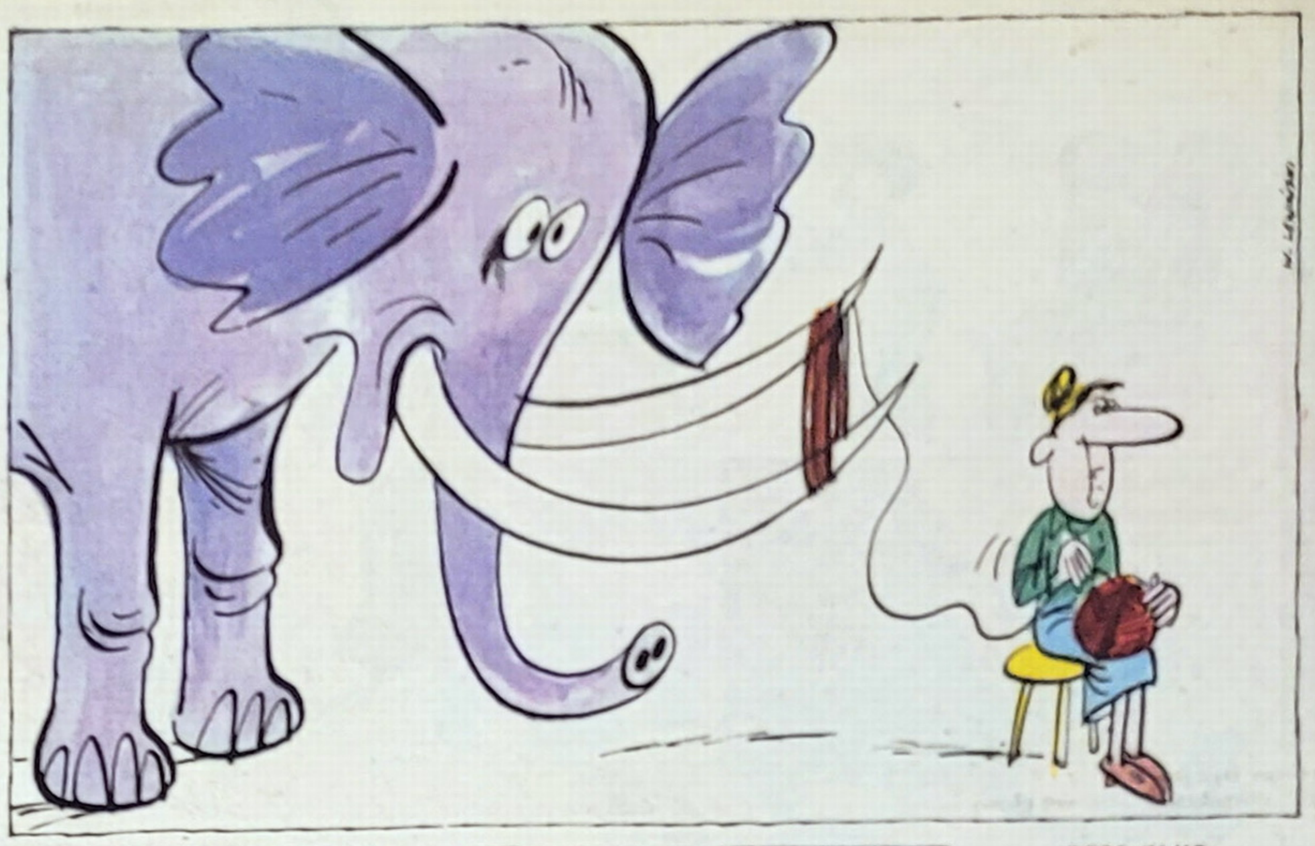

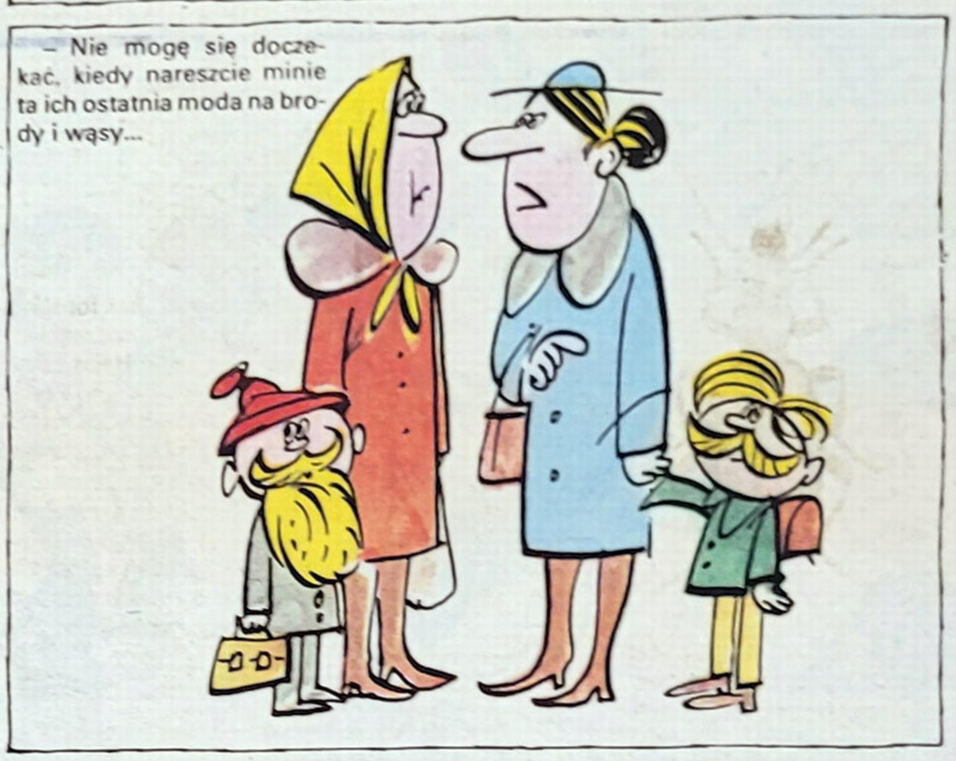

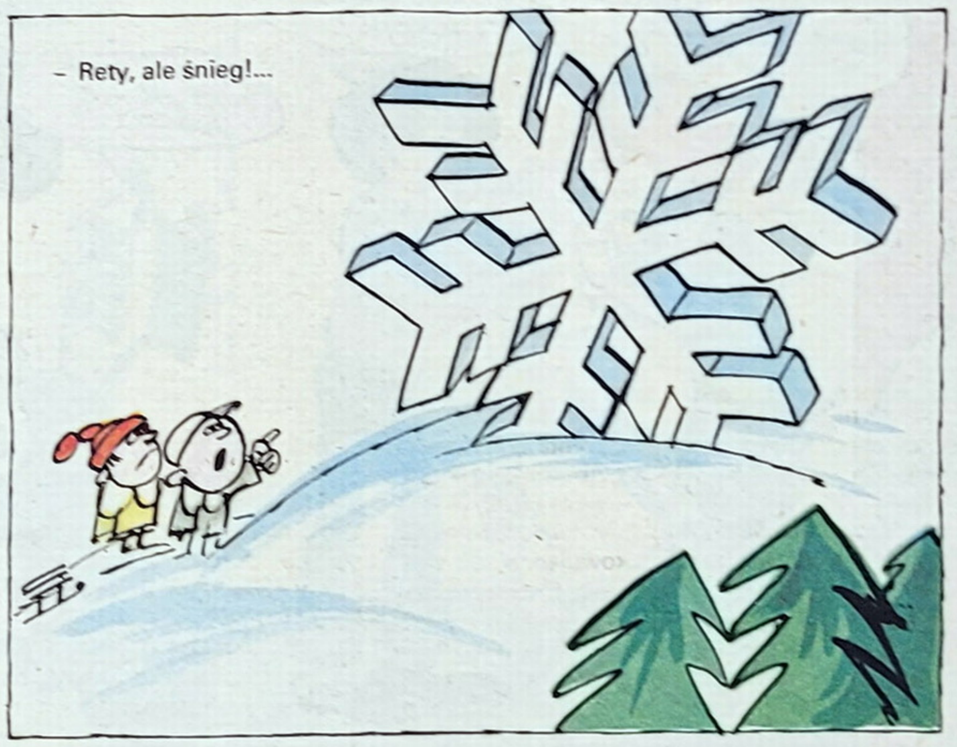

RZEP KLUB

Przyjmuję do klubu Tadka Kunia, który proponuje powtórzenie na łamach „Świata Młodych" zabawy tamtejszej wiele lat temu przez „Przekrój" pod tytułem „Bądź Picassem kaligrafii". Kto umie rysować niech spróbuje tych sił. Najciekawsze pomysły wydrukujemy!

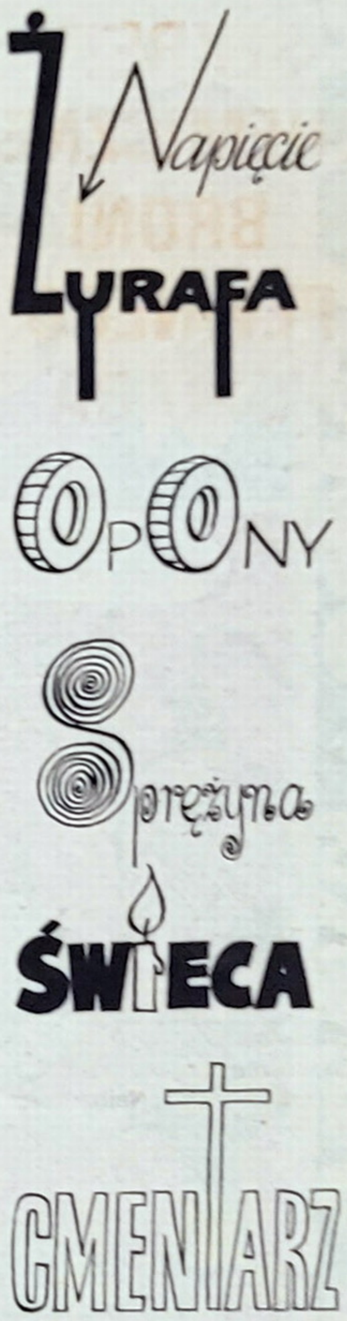

pręgi. Jak u tygrysa. Tylko że tamten ma skórę koloru pomarańczy, a kot Lenki był szary, srebrzysty. I brakowało mu jednego ucha. Poza tym miał zielone, agrestowe oczy z czarnym środkiem. Kiedy ślepia mu się rozpalały, czarny środek stawał się tak duży, że z zielonego koloru nic prawie nie pozostawało. I wtedy w kocich oczach pojawiała się tak wielka chęć psocenia, że patrząc na niego, czuło się, jak ten zapał udziela się nam i chciało się samemu wyciąć jakiś numer. Na przykład pognać nad jezioro i biegać po płyciźnie, aż nogi zaczną palić, jak poparzone.

Jezioro znajdujące się w pobliżu wieży wiertniczej było duże, lecz płytkie. Dlatego nazywano je kałużą. Pewnego razu zatrzymały się na nim przelatujące łabędzie. Lenka świetnie pamięta ten dzień.

Słońce zawisło nad horyzontem i było nie, jak zwykle, bezbarwne, a wręcz odwrotnie: – czerwone jak maliny. W jego promieniach łabędzie również zrobiły się malinowe. Płynęły wolno i majestatycznie. Za każdym ptakiem na wodzie pojawiały się zmarszczki w kształcie klina. Lence strasznie zachciało się rzucić do wody i popłynąć z nimi, by mogła im przyjrzeć się z bliska. Wtem jeden łabędź krzyknął, zatrzepotał skrzydłami, poderwał się do góry, ale jakaś niewidzialna siła trzymała go jak kotwica.

Stado wzbiło się nad jezioro i zaczęło krążyć nad nieszczęśliwcem, a ten zebrawszy wszystkie siły wyrwał się i wtedy Lenka i Siemion zobaczyli łeb nikczemnego szczupaka. Ryba odgryzła łabędziowi łapę i jak kłoda plusnęła w wodę. I dlatego, że ta zębata gadzina zdobyła się na taką podłość, jezioro od razu zamieniło się w kałużę. A słońce stało się bezbarwne. Zraniony łabędź długo jeszcze krzyczał lecąc za resztą stada.

Lenka rozpłakała się. Kot zapiszczał żałośnie. W odróżnieniu od innych przedstawicieli kociego rodu nie umiał bowiem ani miauczeć, ani mruczeć. Ten mieszkaniec północy miał głos chrypliwy, jakby przeziębiony. Lenka i kot spojrzeli na siebie i w milczeniu postanowili zemścić się na szczupaku, który był jedynym gospodarzem jeziora, żył w nim wiele lat, i którego wszyscy nazywali Starą Jędzą.

– No proszę, proszę, głosujcie sobie na psy! Wszyscy porządni ludzie rozumieją je i kochają. Kochać psy to nic trudnego. Ale spróbujcie być za kotami! Za Kotem Kotowiczem, za Siemionem Pietrowiczem... Aby to zrobić, trzeba dobrze znać Siemiona Pręgowanego. I nie tylko znać, ale i pomieszkać z nim pod jednym dachem małego domku na płozach w olbrzymiej tundrze, gdzie nad głową świeci dniem i nocą bezbarwne słońce, które chwilami chowa się za komarami, jak za chmurą. Za brzęczącą chmurą, która żądli wszystkich i wszędzie.

Lenka i Siemion Pręgowany mieli dwóch wspólnych wrogów: szczupaka Starą Jędzę i mechanika z wieży Samsonowa – Kokobę. I przyjaciele pokonali obu. Pokonali ich w walce, w której potrzebna była nie tyle bohaterska siła – bo skąd ona mogłaby się wziąć u Lenki i kota? – co odwaga i zręczność. Oraz gorąca chęć zwycięstwa!

Lenka wystarała się o coś w rodzaju ościenia rybackiego i codziennie z Siemionem chodzili nad jezioro, żeby wydać walkę szczupakowi. Ona wchodziła do wody i uważnie się w nią wpatrywała, a kot ośmielony ruszał za nią w nadziei, że zapuści swe podobne do haczyków pazury w grzbiet Starej Jędzy. Przecież wszystkie koty w duszy są rybakami.

Pewnego razu Siemion zauważył, że Stara Jędza wpłynęła w małą zatoczkę, którą łączył z jeziorem wąski kanał i od razu dał znak Lence.

Oj, szczupaku, szczupaku! Aleś Stara Jędzo popełniła błąd! Nie dałaś się nabrać na przynętę, nie podstawiłaś karku pod oścień, a tu sama wpadłaś w pułapkę! Lenka zaczęła budować tamę. Znosiła ciężkie bryły i kłody, a Siemion biegał po brzegu i w myślach zacierał łapki. Gdy szczupak chciał wrócić do jeziora, na jego drodze znalazła się przegroda. Zaczął pływać, jak łódź podwodna, okrążona w wąskim fiordzie minami morskimi. Zanurzał się. Wypływał. Wreszcie musiał zapłacić życiem za okaleczenie malinowego łabędzia.

Lecz przyjaciele mieli jeszcze jednego wroga. Bardziej niebezpieczny niż Stara Jędza był mechanik Kokoba. Przyjeżdżał do ich osiedla na warkoczącym motocyklu, który skakał na nierównościach, jak Konik Garbusek. Kokoba był mały, czarny, miał wielkie ręce i mnóstwo zmarszczek na czole. Pachniało od niego żelazem, maszynowym smarem i papierosami. Stawiał swój motocykl za domem Lenki, obciągał marynarkę z zakrótkimi rękawami i stukał do drzwi. Przyjeżdżał do mamy. Lecz nie był zbyt mile widzianym gościem. Po jego wizycie matka przez najbliższe dni chodziła ponura, wyprowadzona z równowagi, i naczynia „same wyłatywały jej z rąk".

Cdn.

TEKST I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 40-096 Katowice (tel. 599-230, telex 0315227).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. naczl.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. naczl.)

TELEFONY
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 28-56-18
TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 54. Telefony: Dyrektor 28-89-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Mieczysław Teodorczyk
Redakcja techniczna
Małgorzata Kula
Zam. 8092/G F-100

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" Warszawa

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

JURIJ JAKOWLEW

tłum. Andrzej Konstantynowicz

Wystarczy zapytać: kto głosuje za psami? I zaraz wznosi się las rąk. Ale gdy chodzi o koty – najwyżej dwie, trzy ręce. No, może pięć. Bo kto lubi koty? Dziewczyny lub staruszkowie – emeryci. Nie licząc tych, którzy w ogóle nikogo nie lubią. I cóż taki kot może? Łapać myszy. Tylko że myszy wyniosły się i nie gnieżdżą się już w naszych domach. Oj, próżniaki z tych kotów! Włóczęgi strychowe. Niszczyciele ptasich gniazd. I co by tu jeszcze o nich powiedzieć? – zadrapania na rękach... paskudny zapach na schodach...

– No proszę, proszę, co jeszcze?! Lenka i tak powie swoje. Będzie wspominać równinną i niekończącą się tundrę. Karłowate drzewa, mech reniferowy, jagody moroszki. Groźnie brzęczące chmary komarów. Słońce – jasne, o mglistych konturach, jakby nalane na spodeczek. Dziwne słońce, niepodobne do tego, które świeci w Moskwie czy Woroneżu. Nie zachodzi przez całe lato. Pełznie po niebie w kierunku ziemi i nagle zatrzymuje się, zamiera... i od nowa zaczyna się wznosić, by potem znów się stoczyć. Tę tundrę nazywają Wielką. A gdzie jest Mała, Lenka tego nie wie.

Gdy się idzie przez tundrę mech sprężyście ugina się pod stopami, a karłowate brzózki ocierają się o kolana, nawet jeśli ktoś jest niskiego wzrostu. Są też w tundrze wieże wiertnicze. Z daleka taka wieża przypomina rakietę gotową do startu. I Lence zawsze wydawało się, że za chwilę błyśnie płomień, rozlegnie się huk i wieża – rakieta pomknie w niebo. I wyląduje gdzieś na Księżycu. A w rakiecie poleci kot Siemion Pręgowany. Dlatego, że bez niego tu, w tundrze nic nie mogłoby się wydarzyć. Nawet lot na Księżyc.

Niektórzy mówią, że przyroda tu coś pokręciła: Siemion Pręgowany powinien urodzić się psem. Mógłby być również wilkiem polarnym, lisem, lub tygrysem. Ale jakie to może mieć znaczenie? Dla Lenki był on po prostu prawdziwym przyjacielem.

Gdy Lenka wspomina Siemiona, serce jej ściska się z bólu. Przez całe życie nigdy nie wybaczy sobie, że zostawiła go w tundrze, w domku – wagonie, w pobliżu którego nie ma ani ogrodu, ani grządek, ani płotu z furtką, ani nawet szopy z różnymi rupieciami. Sam dom przypomina chatkę na kurzej łapce. Zamiast fundamentów ma płozy. Gdzie przenosi się wieża Antonowa, tam jedzie za nią domek na własnych płozach. Do traktora przyczepia się dwa, trzy takie wagoniki – i cała wioska rusza w drogę! Aż szklanki pobrzękują w kredensie i lampa kołysze się jak wahadło, lecz nie pali się, bo w czasie jazdy energia jest wyłączona. Przez pewien czas jest ciemno.

W takim domku został właśnie Siemion Pręgowany. Siedzi sobie na schodkach i patrzy w niebo, czeka na helikopter, który przywiezie Lenkę z powrotem. Nie wierzy, że Lenka wyjechała na zawsze do miasta, do internatu. On nawet nie wie, że istnieją miasta. Myśli, że cały świat to tundra i wieże wiertnicze. Wieża Nikiforowa, wieża Jewriemiejewa, Samsonowa. Gdy Lenka była zupełnie mała, też tak myślała.

Dzisiaj wspomina swego przyjaciela nie tylko wtedy, gdy ktoś pyta „kto głosuje za psami?", ale również w najdziwniejszych momentach. Kiedy na przykład nauczycielka opowiada o jakimś wielkim człowieku – „urodził się i wychował...", wtedy Lenka powtarza sobie: „Siemion Pręgowany urodził się i wychował w tundrze..." I później już zupełnie nie słucha nauczycielki, natomiast przypomina sobie... przypomina...

Siemion nie był podobny do zwykłych kotów, choć nie był też ani angorskim, ani syberyjskim, ani sjamskim kotem. Miał zapadnięte boki, na których czerniły się, jakby narysowane węglem

Dokończenie na str. 7